Alicja Gontarek

Bez Żydów. Żydzi mińscy w czasie wojny i po jej zakończeniu.

SPIS TREŚCI

EREW ROSZ HASZANA - początek gehenny | 2-7

JUDENRAT I GETTO | 8-15

PRACA PRZYMUSOWA | 16-21

„AKCJA REINHARDT" - 21 sierpień 1942 r. | 22-27

PO ZAGŁADZIE, zagłady ciąg dalszy | 28-35

PO ARYJSKIEJ STRONIE | 36-39

MIASTO BEZ ŻYDÓW - pierwsze wrażenia | 40-43

TU JEST MÓJ DOM - Roma Byczuk i Władysław Lewartowski | 44-49

MÓWI DZIECKO HOLOCAUSTU | 50-53

MIŃSK 1963 - prace w zrujnowanym ogrodzie | 54-57

PARYSKIE ZIOMKI DOPIĘŁY SWEGO | 58-61

„MARCOWE" POŻEGNANIE | 62-65

W IZRAELU | 66-69

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA - zagadka | 70-73

Przeprowadzka do mińskiego getta. Na plecach widoczne łaty z gwiazdą Dawida.

ERFW ROSZ HASZANA – początek gehenny

Gdy w 1939 r. wybuchła wojna dla większości Polaków i Żydów okazała się ona wielkim zaskoczeniem. Wiele osób na kursach Ligi Obrony Przeciwlotniczej było zapoznawanych z zasadami udzielania pierwszej pomocy i innymi regułami pomagającymi przetrwać naloty. Teoretyczne wykłady, w których brali udział zarówno Polacy, jak i Żydzi, okazały się jednak mało pomocne wobec zmasowanego ataku wojsk niemieckich. Brutalność, z jaką wojska niemieckie rozprawiały się z mieszkańcami Polski przyjmowana była z niedowierzaniem.

Mińszczanie po 5 września obserwowali kolumny uciekinierów udających się z Warszawy na wschód. 7 września z ust do ust przekazywano sobie wiadomość, że pociąg kursujący na trasie Mińsk - Warszawa został zbombardowany przez niemieckie lotnictwo. Następnie, 11 września niepokojące wiadomości przyszły od uciekinierów z Kałuszyna - miasto zostało spalone przez niemiecką artylerię.

12 września nastąpił ostrzał artyleryjski Mińska. Pociski uderzały w centrum miasta. Płonął Rynek, Nadrzeczna, a szczególnie Siennicka. 40% zabudowań doznało poważnych uszkodzeń. Ch. Kirszenbaum wspomina: *Ludzie pochowali się gdzie tylko mogli. Po kilku uderzeniach, pierwsze budynki zaczęły się palić. Leżały już pierwsze trupy. Nie ma żadnego ratunku. Nikt w mieście nie działa. Nie ma Czerwonego Krzyża, nie ma policji, nie ma władzy. Są bomby i ludzie. (...) Wszystko się rozleciało...*

Żydzi świętowali wówczas erew Rosz Haszana. Niemcy wkroczyli nad ranem 13 września. W tym samym czasie, we wczesnych godzinach rannych Żydzi przebywali w synagodze. Zgodnie z obrządkiem, odmawiano modlitwy, w których proszono Stwórcę o przebaczenie. Następnie trzy razy zadęto w róg. Mieszkańcy usłyszeli trzy podstawowe dźwięki: tekija (ciągły), szewarim (trzy krótkie) i terua (dziewięć krótkich). Zaczęło się Rosz Haszana. Na ulicy Warszawskiej pojawiły się czołgi i pancerne auta.

Tuż po zajęciu miasta, okupanci rozkazali otworzyć sklepy. Rozpoczęła się grabież. Żołnierze okradali sklepy należące do Żydów i Polaków. Za zbyt wolne wykonywanie poleceń zabijano poszczególnych kupców. Rozpoczęła się ciemna noc okupacji.

Miasto jednak musiało podnieść się ze zniszczeń. Zorganizowano szpital dla rannych i pogrzeby zmarłym rodzinom. Pogorzelcy zostali skierowani do dwóch ocalałych bóżnic. Od tej chwili miejsce to stanowiło ich dom. Rozpoczął się handel spekulacyjny, a w nocy ustawiały się ogonki po chleb. Powołano również nowe władze miejskie. Burmistrzem został Kiziewicz, Polak, który urząd ten sprawował podczas pierwszej wojny światowej.

Od chwili, gdy miasto otrząsnęło się z wojennego kurzu nastąpiło wyraźne rozgraniczenie między Polakami a Żydami. Niemcy zaczęli organizować łapanki do pracy. Wybierali samych Żydów. Poniżali ich, obcinając brody i pejsy. Mińskiemu rabinowi Szapiro kazali okryć się tałesem i nałożyć filakterie. Następnie wcisnęli mu na głowę nocnik. Tak odziano

Poniżeni, upodleni - mińscy Żydzi...

jeszcze kilku innych chasydów (najbardziej szanowanych Żydów w mieście), oprowadzano ich ulicami, a potem odprowadzono do robót fizycznych. Żydzi sprzątali ulice, czyścili żołnierzom niemieckim buty i wykonywali inne hańbiące prace, jak czyszczenie wychodków, których nie chciała podejmować „rasa panów". Byli zmuszani także do najcięższych i najtrudniejszych prac, nie dostając w zamian wynagrodzenia. W ten sposób okupanci mieli zagwarantowaną tanią siłę roboczą.

Podkreślanie podległości i niższości Żydów wobec Niemców działo się w sensie dosłownym na każdym kroku. Do specyficznych reguł, jakich wymagali od Żydów w Mińsku okupanci należało zdejmowanie czapki przed każdym Niemcem, naznak szacunku dla „rasy panów". Zwyczaj ten funkcjonował również w getcie warszawskim, lecz z czasem go zarzucono. O konsekwencjach nie zdjęcia czapki przed Niemcem opowiada miński Żyd, L. Guz: *Zaprowadzono mnie do wartowni. (...) Znajdowało się tam trzech żołnierzy, którzy właśnie obradowali, w jaki sposób należy mnie przykładnie ukarać. W końcu kazali się rozebrać i położyć na stole. Odmówiłem. To jeszcze bardziej rozsierdziło hitlerowców. Siłą położyli mnie na stole. Dwóch trzymało za nogi, jeden za głowę i każdy - na zmianę - po pięć razy wymierzył mi ciosy grubą pałką. Ból był okropny. Krzyczałem, ile sił w piersiach. (...) Plecy miały kolor niebieski, przetykane ciemnymi plamami, po wewnętrznym wylewie krwi.*

Po ustaleniu granicy na Bugu część mińszczan chciała się przedostać na tereny ZSRR. Niektórzy wrócili, nie mogąc znieść realiów okupacji sowieckiej. Warunki w Mińsku okazały się równie ciężkie, gdyż pojawiły się trudności z zaopatrzeniem w podstawowe produkty żywieniowe. W grudniu oznaczono żydowskie sklepy. Żydzi musieli także założyć hańbiące opaski. Na przedzie i na plecach ich wierzchnich ubrań pojawiły się gwiazdy Dawida. Oznakowani Żydzi byli traktowani jak podludzie, najniższej kategorii robotnicy przymusowi. Zaczął się rok 1940.

VERORDNUNG

ueber die Kennzeichnung juedischer Geschaefte im Kreise Minsk-Mazow.

Alle juedischen Gewerbebetriebe sind als juedisch zu kennzeichnen. Die Kennzeichnung geschieht dadurch, dass an sichtbarer Stelle ein besonderes Plakat mit blauem Zionsstern auf weissem Grunde angebracht wird.

Als juedisch gilt ein Betrieb oder Warenlager, wenn der Inhaber Jude ist.

Als Jude gilt, wer von zwei juedischen Eltern abstammt. Mischlinge gelten nicht als Juden im Sinne dieser Verordnung, wenn sie am 1.X.1939 nicht der juedischen Religionsgemeinschaft angehoert haben. Gesellschaften und juristische Personen, insbesondere Handelsgesellschaften, gelten als juedisch, wenn sich im Vorstand oder Aufsichtsrat ein Jude befindet, oder wenn mehr als 25% der Kapitalsanteile in juedischem Besitz sind, oder wenn in anderer Weise massgeblicher juedischer Einfluss besteht.

Wer vorsaetzlich oder fahrlaessig die Kennzeichnung juedischer Betriebe unterlaesst oder verhindert oder angebrachte Kennzeichen beseitigt, wird mit Geld-oder Freiheitsstrafe bestraft.

Fuer die Durchfuehrung dieser Verordnung sind die Buergermeister und die Woits der einzelnen Gemeinden im Kreise Minsk-Mazow. verantwortlich.

Diese Anordnung tritt mit ihrer Bekanntmachung in Kraft.

Minsk-Mazowiecki 1.XII.1939.

ARCHIWUM ... BOK ... ANSTOWE

DER KREISHAUPTMANN
gez. Dr. BITTRICH

ZARZĄDZENIE

w sprawie oznaczenia sklepów żydowskich w pow. Mińsko-Maz.

Wszystkie żydowskie warsztaty pracy należy oznaczyć jako żydowskie. Oznaczenie rozumie się przez wywieszenie na widocznym miejscu specjalnego białego piakatu z niebieską gwiazdą syonu.

Za żydowski uważa się ten warsztat wzgl. sklep, którego właściciel jest żydem.

Za żyda uchodzi ten, którego oboje rodzice są żydami. Dzieci małżeństw mieszanych nie uważa się w zrozumieniu tego zarządzenia za żydów, o ile dnia 1.X.1939 r. nie należały do żydowskiej gminy wyznaniowej. Spółki, spółdzielnie, specjalne spółki handlowe uważa się wówczas za żydowskie, o ile w ich zarządzie wzgl. radzie nadzorczej znajduje się żyd, o ile więcej niż 25% udziału znajduje się w rękach żydowskich, lub żydzi w jakikolwiek inny sposób wpływ swój na nie wywierają.

Kto złośliwie lub lekkomyślnie oznaczania żydowskich warsztatów pracy zaniedbuje, utrudnia albo też już wywieszone oznaczenia usuwa, będzie karany grzywną lub aresztem.

Za wykonanie tego zarządzenia są odpowiedzialni burmistrze wzgl. wójci poszczególnych gmin w powiecie Mińsko-Maz.

Powyższe zarządzenie obowiązuje z chwilą ogłoszenia.

Mińsk-Mazowiecki 1.XII.1939.

STAROSTA
gez. Dr. BITTRICH

ZARZĄDZENIE

Z polecenia Komendy Miasta wszyscy żydzi mają natychmiast zaopatrzyć swoje sklepy i mieszkania w widoczne i wyraźne napisy „JUDEN"

Mińsk-Mazow. 8 listopada 1939 r.

Zarząd Miejski.

OBWIESZCZENIE

Na podstawie rozporządzenia o obowiązku zgłoszenia majątku żydowskiego na obszarze Generalnej Guberni z dnia 24 stycznia 1940 (§ 5 ust. 1 dekretu Fuehrera i Kanclerza Rzeszy Niemieckiej o Administracji okupowanych polskich obszarów z dnia 12 października 1939 r.), wszyscy Żydzi zamieszkali w Mińsku-Mazowieckim, winni w celu ujawnienia całkowitego swego majątku zgłosić się osobiście w lokalu Rady Żydowskiej w Mińsku Maz. (Rynek 8) od 7 marca do 13 marca 1940 (włącznie). (W godz. 9--13 i 15--17

Za majątek żydowski uważa się:

1. Wysokość krajowych i zagranicznych kont bankowych.
2. Wysokośc krajowych roszczeń, nie będących kontami bankowymi.
3. Wysokość roszczeń zagranicą nie będących kontami bankowymi.
4. Roszczenie spadkowe do osób w kraju i za granicą.
5. Akcje Kuksy, papiery wartościowe, udziały.
6. Zapasy towarowe wszelkiego rodzaju z podaniem gatunku towaru, ilości i każdorazowej wartości bez względu na ewentualne prawa osób trzecich.
7. Nieruchomości, udziały w nieruchomościach, prawa na nieruchomościach (wg. hipoteki).
8. Srodki przewozowe wszelkiego rodzaju (samochody, wozy, konie i t.p.
9. Zapas gotówki.
10. Klejnoty wszelkiego rodzaju ze złota i srebra np. pierścionki, broszki, zegarki, branzoletki, łańcuszki, kolczyki i t.d.
11. Urządzenie mieszkaniowe, meble, inne przedmioty urządzeniowe, (jak np. obrazy dywany ścienne).
12. Ubranie, futra, przedmioty służące użytkowi osobistemu.
13. Ewentualne darowizny dokonane od dnia 1 stycznia 1939 r.

Majątek nie zgłoszony w terminie uważany będzie za bezpański i podlegać będzie konfiskacie. Żydzi nie posiadający żadnego majątku winni stawić się celem podpisania deklaracji.

Niezastosowanie się do niniejszego zarządzenia karane będzie więzieniem i grzywną w nieograniczonej wysokości.

Burmistrz
J. KIZIEWICZ

Mińsk-Mazowiecki dnia 5 marca 1940 r.

Członkowie mińskiego judenratu.

W 1942 r. na terenie powiatu mińskiego przebywało około 15 tys. Żydów rozlokowanych w gettach i obozach pracy. Największe skupisko znajdowało się w Mińsku, gdzie na jesieni 1940 r. niemiecki okupant założył „dzielnicę" żydowską, która spełniała rolę getta. Rozciągała się ona na ulice: Nadrzeczną, Bulwarną, a także w części na ulice: Warszawską, Siennicką Mostową, Zgody, Klasztorną (obecnie Spółdzielczą), Błonie, Ogrodową i Rynek. Od 12 grudnia 1941 r., decyzją kreishauptmanna dr Karla Bittricha, ludność żydowską obowiązywał całkowity zakaz opuszczania dzielnicy pod karą śmierci. Można powiedzieć, że od tego momentu zaczęło funkcjonować getto.

Dzielnicy nie otaczał, tak jak w Warszawie, ceglany mur. Formę ogrodzenia stanowiły kolczaste zasieki, a także, jak wspomina Stanisław Chojnowski, namalowane czarną farbą linie, wskazujące granicę getta. Ruch wewnątrz regulowała żydowska policja, na zewnątrz zaś, przy bramach getta, stała polska policja, zwana od koloru munduru „granatową".

O formę odgrodzenia getta od reszty miasta trwały nieustanne targi. Żydzi pragnęli, aby wyznaczony im teren nigdy nie został otoczony murem. Pertraktacjami z Niemcami zajmowała się żydowska rada. Okupant wiedział, że nie ma planów otoczenia getta, lecz za fakt rzekomego wstrzymywania budowy muru żądał złota. Strach Żydów przed „grodzeniem" był ogromny, więc ukonstytuowała się grupa zbieraczy, która chodziła od domu od domu, zbierając kosztowności. Gdy okazało się, że łapówka była za mała, Niemcy pozornie przystępowali do wzniesienia muru do czasu, gdy wpłynęły odpowiednie „środki" i tak w kółko.

W mińskim getcie znajdowało się, wedle różnych szacunków, od 5 do 7 tys. Żydów. Panował okropny ścisk. W jednej izbie przebywało do 15 osób. Na każdą osobę przypadało 2/3 m². Sytuację pogarszał fakt, iż w 1939 r. w wyniku niemieckiego artyleryjskiego ataku na miasto w dużym procencie uległo zniszczeniu centrum miasta, w którym zamieszkiwali głównie Żydzi. Poważnym problemem był tyfus i głód, choć mińscy Żydzi mieli większe możliwości szmuglu żywności i lekarstw niż np. w Warszawie. To stamtąd żydowscy uciekinierzy przynieśli do Mińska tyfus. Jeden z dawnych żydowskich mieszkańców Mińska wspomina: *Zawiadomiono mnie, że pod mostem w rowie leży dziewczyna i trzeba po nią pojechać. Pojechałem dorożką po tę dziewczynę. Na miejscu stwierdziłem, że jest strasznie zawszona. Dorożką zabrałem ją do łaźni. W łaźni ją wykąpano i wydezynfekowano jej ubranie. Po godzinie, po kąpieli na dziewczynie pojawiły się znów ogromnej ilości wszy. Powtórnie ją wykąpano, wysmarowano sabadyllą, ale wszy znowu spod skóry wylazły. Po kilku godzinach dziewczyna zmarła, nie mówiąc jak się nazywa.* Sytuacja uległa pogorszeniu, gdy do miasta przyjechali Żydzi wysiedleni z terenów wcielonych do III Rzeszy, z Lipna, Kalisza, Pabianic, Łodzi, Kutna, Włocławka, lecz także z okolicznego Kałuszyna. Stali oni najniżej w gettowej hierarchi, pozbawieni dobytku i dachu nad głową w pierwszej kolejności byli wysyłani do robót. Szybko między nimi a mińskim Żydami został wykopany rów niechęci i nienawiści.

ZARZĄDZENIE

Żydom niewolno przebywać poza granicami wyznaczonej dla nich w Mińsku-Mazow. dzielnicy mieszkaniowej.

Dzielnicą mieszkaniową w Mińsku-Mazow. jest:

cała ulica Nadrzeczna i cała Bulwarna;

część Warszawskiej, a mianowicie obie strony ulicy, począwszy od rzeczki Srebrnej do ulicy Ogrodowej wzgl. Rynku.

część ul Mostowej, począwszy od ul. Piłsudskiego do ul. Zgoda (obie strony), od ul. Zgoda do ul. Siennickiej strona północna (wyłączając budynki Elektrowni Miejskiej i restaurację „Sielanka");

część ul. Siennickiej, mianowicie począwszy od ul. Mostowej do posesji Rynek 15 włącznie;

część ul Błonie, a mianowicie cała strona zachodnia, a na stronie wschodniej posesja Nr. 15;

z ul Klasztornej strona półn.-zachodnia od ul. Mostowej do posesji Nr. 5 włącznie;

z ul. Ogrodowej domy Nr. 1 i 2;

z ul. Zgoda zachodnia strona ulicy, począwszy od Mostowej do posesji Nr. 4

Wyjątki od tego zarządzenia mogą nastąpić jedynie za moją zgodą.

Winni przekroczenia karani będą według 2. zarządzenia o ograniczeniu przebywania w GG. z dnia 29 kwietnia 1941 (VBlGG. S. 274) i 3 zarządzenia o ograniczeniu pobytu w GG. z dnia 15 października 1941 (VBlGG. S. 595).

Mińsk-Mazowiecki, dnia 12 grudnia 1941.

Der Kreishauptmann
(—) Dr. BITTRICH

Druk. i Prac. Stempli Z. Lissowskiego Mińsk-Maz. Piłsudskiego 70.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
Oddz. w Otwocku
m.st. Warszawy

ANORDNUNG.

Juden ist es verboten, sich ausserhalb des ihnen in Mińsk-Maz. zugewiesenen Wohnbezirks aufzuhalten.

Der jüdische Wohnbezirk umfasst:

die ganze Nadrzecznastr. und Bulwarnastr.,

die Warschauerstr. beiderseits vom Fluss bis zur Ogrodowastr.,

die Mostowastr. von der Pilsudskistr. bis Zgodastr. ganz, von der Zgodastr. bis zur Siennickastr. jedoch nur die Nordseite (ausgenommen sind das Elektrizitätswerk und die Restauration „Sielanka".

die Siennickastr. von der Mostowastr. bis Ring Nr. 15,

die ganze Westseite der Bloniestr. und auf der Ostseite das Haus Nr. 15,

die Nordwestseite der Klosterstr. bis zum Hause Nr. 5,

die Ogrodowastr. Nr. 1 und 2,

die Westseite der Zgodastr. bis Nr. 4.

Ausnahmen bedürfen meiner ausdrücklichen Erlaubnis.

Zuwiderhandlungen werden nach der 2. Verordnung über Aufenthaltsbeschränkungen im Generalgouvernement vom 29. April 1941 (VBl.GGS. 274) und der 3. Verordnung über Aufenthaltsbeschränkungen im Generalgouvernement vom 15. Oktober 1941 (VBIGGS. 595) bestraft.

Minsk-Mazowiecki, den 12. Dezember 1941.

Der Kreishauptmann
(—) Dr. BITTRICH

Nad całością spraw mińskiego getta czuwała rada żydowska (judenrat). Organ ten powołali Niemcy. Mosze Ziserman w taki sposób opisuje okoliczności jego powstania: *Nakaz nadszedł 16 lub 17 grudnia 1939 r. Jednego piątkowego wieczoru burmistrz Mińska Mazowieckiego, Kiziewicz, Polak wydał rozkaz, aby schwytano 24 Żydów. Złapano ich i odprowadzono do hali. Do hali przyszedł ss-owiec obersturmführer Brandt, który potem wyjechał do Lublina i powiedział do tych 24 Żydów, że oni wszyscy są starszymi wśród Żydów, tzw. Judenratem. Stał przed nimi ze szpicrutą w ręku, z psem u nogi i rewolwerem Do jednego z nich, Mosze Kramarza, powiedział, że jest „Judensztiker"(...) Trzymając rewolwer w ręku powiedział im, że od dziś muszą wykonywać wszystkie postanowienia, jakie im przekaże, przy tym dodał, że rewolwer, który trzyma w ręku, ma tę właściwość, że każdego dnia dymi... Po tym otworzył małe drzwi, przez które mogła przejść tylko jedna osoba, krzyknął „heraus" (precz), bił ich i napuścił na nich psa. W ten sposób powstał pierwszy Judenrat w Mińsku Mazowieckim.*

Żydowscy policjanci w mińskim getcie. Na głowach charakterystyczne czapki.

Od początku Niemcy nie pozostawiali wątpliwości, że rada żydowska będzie narzędziem, służącym do wykonywania zbrodniczych zamierzeń okupanta. Powoli, w miarę upływu czasu Niemcy stopniowali swoje żądania, systematycznie okradając, terroryzując i wyniszczając ludność żydowską przebywającą w mińskim getcie aż do tragicznego końca. Prezes judenratu musiał np. codziennie rano, o godzinie dziewiątej meldować się w siedzibie SS, gdzie otrzymywał dzienne zapotrzebowanie na „prezenty". Żądania te z czasem stawały się coraz bardziej nachalne, więc rada ustaliła opodatkowanie każdego przebywającego w getcie Żyda z przeznaczeniem na owe łapówki. Za zgromadzone fundusze kupowano wódkę, koniaki, ubrania, pierścionki etc. Ch. Kirszenbaum ocenia: *Najgorsze były żony tych bandytów, one nie znały końca w żądaniach. Nie jest pewne, czy wszystkie te hieny były prawdziwymi żonami. Po kilka razy w roku miały urodziny. Często miewały specjalnych gości, dla których były potrzebne różne różności na przyjęcia. Były wprawione w tym niecodziennym rabunku. Niektórzy mieli polskie dziewczyny. One same przychodziły z żądaniami i same odbierały prezenty.*

Inną formą nieustającej kradzieży były rewizje przeprowadzane przez żandarmerię w żydowskich domach. Formacja ta kontrolowała także gettowy przemysł - pobierała stosowne „opłaty" od olejarni, mydlarni, piekarni, jatek, sklepów z ziemniakami itd.

Najgorszy był jednak terror bezpośredni. Siali go wykazujący się szczególnym okrucieństwem, Zbigniew Barbachen, funkcjonariusz Sonderdienstu, który osobiście zabił około 300 Żydów. Na „występy" do mińskiego, a także po łupy takie jak kawa czy alkohol przyjeżdżał także osławiony w Mrozach oprawca, żandarm nazwiskiem Kaczorek. W rzeczywistości chodził on po ulicach getta z psem, który rzucał się na ofiary i gryzł je. Komenda Kaczorka, skierowana do psa, „Człowieku, weź tego psa", znana była wszystkim.

W tych trudnych warunkach członkowie judenratu starali się jednak przeżyć. Funkcję prezesa judenratu pełnił Mosze Kramarz, zastępcy zaś Leon Wajnberg. Na czele żydowskiej policji stał Icek Lipczyński. Zadania żydowskiej policji należały do jednych z bardziej przykrych. Codziennie policjanci organizowali łapanki do pracy, chodząc po domach i wyciągając z nich opornych. Skład żydowskiej rady podlegał zmianom. Do 1942 r. liczba jej członków stopniała o połowę. Osoby tworzące radę nosiły niebieskie opaski, policjanci - pomarańczowe.

Poszczególnymi aspektami życia w getcie zajmowały się wydziały lub biura judenratu, z których do najważniejszych należały: sanitarny, żywnościowy i jeden z najistotniejszych - pracy. Kierownikiem pierwszego z nich był Israel Josef Węgiel. Współpracował z nim miński felczer, Abram Goldman, którego zastępcą został technik dentystyczny - J. Borensztajn. Starano się także, aby działał prowizoryczny szpital, zorganizowany w synagodze na Nadrzecznej. Jego dyrektorem był dr Szymon Grynberg, który pochodził z Łodzi i znalazł się w grupie uciekinierów z terenów wcielonych do III Rzeszy. Chorym pomagała także studentka pierwszego roku medycyny

Niemiecki żandarm - Artur Hauser.

Mińskie getto.

- Blima Mikanowska oraz inni sanitariusze.

Szpital nie był jednak miejscem, gdzie chory mógłby w spokoju się leczyć. Ch. Kirszenbaum relacjonuje, na czym polegała groza tej placówki: *(...) Trzeba było chorych trzymać w tajemnicy przed Niemcami, bo w innym wypadku rozstrzelaliby ich. Bywały kontrole, organizowane przez Niemców szukających chorych na tyfus. Podczas jednej z nich, chorych ubierano z temperaturą 40 stopni - musieli chodzić po bóżnicy. Podczas takiej kontroli chorzy uśmiechali się nawet. To strach przed śmiercią potrafił wywoływać uśmiech u ludzi, którzy ledwo trzymali się na nogach. Smród lizolu szybko wypędzał Niemców z bóżnicy, tak, że taka kontrola nie trwała długo. Dość często trzeba było dawać łapówki, żeby Niemcy nie chodzili na kontrole, ponieważ bywało i tak, że po prostu nie można było ludzi ściągnąć z barłogów. (...) Ludzie, którym udało się wyzdrowieć, wyglądali jak cienie, jak straszydła. Wstawali z barłogów wynędzniali i słabi. Gdy poruszali się po bóżnicy, trzymali się ścian, jakby się do nich chcieli przylepić.*

Pełną parą pracowała również jadłodajnia, która wydawała dla najbiedniejszych kartoflankę. Z pomocy tej korzystało 30% całej społeczności. Najbardziej rozbudowanym wydziałem były jednak biura zajmujące się zagadnieniem pracy. W getcie działała także poczta. Na stanowisku listonosza zatrudniono Szmula Abrahama Popowskiego.

Nie ulega wątpliwości, że członkowie rozbudowanego biurokratycznego aparatu judenratu znajdowali się w uprzywilejowanej sytuacji. Za „załatwienie tego i owego" potrafili oni pobierać nieuprawnione opłaty. Z drugiej strony, dzięki pracownikom rady życie w getcie przybrało bardziej uregulowany charakter. Zaczęła np. działać pomoc socjalna i medyczna. Niewątpliwie jednak w wielu żydowskich relacjach przewijają się bardzo krytyczne opinie na jego temat, w szczególności zaś wobec żydowskiej policji - formacji codziennie zmuszającej opornych do stawienia się do pracy .

Członkowie rady podzielili los reszty mińskich Żydów. Gdy rozpoczęła się akcja likwidacyjna, do Mińska przyjechali osławieni gestapowcy Brandt i Handtke. Ich pobyt w Mińsku wiązał się z przerwą w wysiedlaniu warszawskiego getta. Przedstawili oni przewodniczącemu judenratu dokument, zaświadczający, iż „mińska rada przynosi Żydom wolność".

Mińsk Mazowiecki

(Chagi) Komitet Opieki Społecznej przy Radzie Żydowskiej w Mińsku Maz., połączył się z Ż. S. S. Na posiedzeniu wybrano wspólny Komitet Powiatowy z Prezesem Rady Żyd. M. Kramarzem na czele. Komisja pracuje intensywnie. Dziennie wydaje się 1 200 obiadów i odzież dla biednych. W każdym miesiącu rozdziela się sumę kilku tysięcy złotych, jako zapomogi doraźne, biednym chorym wydaje się większą ilość produktów. Ostatnio rozdzielono kilkaset metrów ziemniaków między biedną ludność. — Delegatura uchwaliła założyć oddział „Centosu" dla biednych dzieci, oraz ambulatorium dla leczenia chorych.

Wydział Sanitarny prowadzi ożywioną działalność, udziela pomocy lekarskiej oraz wydaje większą ilość leków. Biednym chorym dzieciom wydano tran.

Fragment „Gazety Żydowskiej" z 1942 r.

Ta kpina spotkała się z natychmiastową reakcją Kramarza, który podarł przedstawiony mu papier, oświadczając wszystkim obecnym, że w praktyce oznacza to „wysiedlenie". Za te słowa został pobity i zawleczony wraz z pozostałymi członkami rady (L. Wajnberg, M. Sz. Bryks, J. Popowski, C. Morgensztern, M. Mejnberg, B. Słoń, Openhejm (siostra Kramarza), Butler i Bresler – policjanci) do siedziby Sonderdienstu. Przedtem widziano, jak Niemcy poniżali ich, zmuszając, aby udawali kury: *Musieli w kucki chodzić po podwórzu i naśladować gdakanie kur. Dwóch esesmanów biło ich pejczami.*

W czasie gdy trwała akcja likwidacyjna, Niemcy przetrzymywali członków rady w odosobnieniu, torturowali ich starając się wydobyć informacje na temat skrytek i schowków, w których ukryci byli Żydzi lub złoto oraz kosztowności. Następnego dnia pod płotem na posesji, gdzie znajdował się młyn Szolca zostali rozstrzelani. Akcją tą kierował osobiście Botz. Świadkiem tego wydarzenia była Dina Kagan, pracownik mińskiego starostwa, której udało się przez cały okres okupacji podawać się za Polkę.

Mosze Tyrangiel – żydowski policjant (lipiec 1942 r.).

Roboty na rampie kolejowej.

Do czasu Zagłady mińskich Żydów nieustannie odbywał się wyzysk pracy. Zadanie codziennego odstawiania odpowiedniego „kontyngentu" Żydów należało do pierwszych zadań judenratu.

Roboty wykonywane na rzecz niemieckiego okupanta były początkowo organizowane bardzo chaotycznie, a w początkowej fazie okupacji miały charakter służący tylko i wyłącznie poniżeniu. Szybko tzw. łapanki stały się poważnym utrapieniem. Jedną z dość wymownych grudniowych scen z tamtego początkowego okresu 1939 r. zapamiętał Ch. Kirszenbaum: *(...) Przez noc odbywała się wędrówka ze szpadlami i miotłami. Rano Żydzi byli na rynku i pracowali ze łzami w oczach i poniżeniu. Nikt z nimi nie rozmawiał. Wszystko było jasne bez słów. (...) Po godzinie pracy zorientowali się, że kupy lodu i śniegu rosną, a rynek ma być przecież czysty. Wtedy w błyskawicznym tempie Żydzi poprzynosili kubły i śnieg został wyniesiony na sąsiednie pola. Charakterystyczne było to, że po godzinie dziewiątej, gdy Polacy wychodzili z kościoła, na widok Żydów, sprzątających ze śniegu rynek zaczęli się śmiać. Bawiła ich ta sytuacja. Normalnie po wyjściu z kościoła zawsze szli na spacer na ul. Warszawską, ale tym razem woleli stać i przyglądać się temu nieszczęściu. (...) Polacy wierzyli, że ich to poniżenie ominie. Wołali, że nareszcie moszki nauczą się pracować.*

Wyzysk pracy odbywał się w różnych punktach miasta, a często poza nim. Spora liczba żydowskich robotników we wrześniu 1939 r. została zmuszona do pracy na wojskowej poczcie o numerze 13. Odbierała ona codziennie tysiące paczek od żołnierzy, którzy wysyłali kradzione przedmioty do swoich rodzin. Patrzyli na to Żydzi, których zadaniem była budowa szopów dla samochodów pocztowych. Wielu ukrywało się, nie chcąc codziennie podejmować morderczej i niepłatnej pracy. Metoda ta nie okazała się jednak skuteczną, gdyż okupant dzień za dniem wymagał określonej liczby robotników. Poza tym, ukrywający się nie mieli z czego się utrzymać. Z tych względów część Żydów zaczęła sama zgłaszać się do pracy, licząc na własny spryt. Szczególnie „atrakcyjne" było zatrudnienie w magazynach, z których regularnie za wiedzą lub bez udziału Niemców wynoszono różne przedmioty, mające na rynku pewną wartość.

Najbardziej bano się wysyłek do miejsc oddalonych od Mińska. W sierpniu 1940 r. odesłano transport kilkudziesięciu Żydów z Mińska do obozów pracy w dystrykcie lubelskim, w okolice Tomaszowa Lubelskiego i Bełżca.

Gdy powstał miński judenrat, problem zatrudnienia podległ regulacjom. Przyjął on naczelną zasadę, w myśl której „na roboty" nie szli ci Żydzi, którzy byli jedynymi żywicielami rodziny. Należy jednak wspomnieć o specyficznym łapówkarskim systemie , jaki wobec zagadnienia pracy organizowała w Mińsku żydowska policja. Aby nie pracować, bogaci w stosunku dziennym płacili jej od 5 do 10 zł, od grupy roboczej zaś pobierano sumę w wysokości od 2,5 do 4,25 zł. Swoje środki egzekwowali także Niemcy.

Od 1940 r. placówki można podzielić na dwa rodzaje. Pierwszymi były takie, do których regularnie przychodziły grupy robocze, które dostawały wynagrodzenie lub jedzenie. Zorganizowane kolumny robotnicze mogły działać na stałe lub tylko sezonowo. Zaliczamy do nich dawną fabrykę Rudzkiego, firmę Wolfer & Goebel, znajdującą się przy ul. Warszawskiej i placówkę „Kopernik", gdzie pracowano dla Werhmachtu. Oprócz nich Żydzi przebywali na robotach w placówce kolejowej i w Czerwonym Krzyżu. W obu z tych ostatnich znalazł się L. Guz.

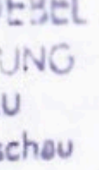

Praca na kolei polegała na sprzątaniu torowisk i peronów po przejeździe pociągów wojskowych. Żołnierze przyjeżdżający na stację wdawali się w dyskusje z zatrudnionymi tam Żydami. Przychylnie o narodzie żydowskim wypowiadali się tylko w rozmowach w cztery oczy, wyrażając nieraz nawet współczucie. *W grupie zaś opinie tego rodzaju były nie do pomyślenia* – wspomina L. Guz. Zapamiętał on też wyjątkową, na tle innych, rozmowę z jednym z owych żołnierzy, podążających na wschód. Poborowy ten otwarcie przy innych Niemcach, w tym funkcjonariusza Banschutzu (policja kolejowa) skrytykował założenie warszawskiego getta, jako akt barbarzyństwa i przykład powrotu do epoki feudalnej, po czym otwarcie wyraził sympatię do Żydów: *Banschutz nie ukrywał swego zdenerwowania i robił się coraz bardziej purpurowy na twarzy. Chcąc widocznie zademonstrować swą wierność ideałom nazistowskim, oświadczył, że nie tylko uważa powołanie getta za konieczne, aby odseparować zarazę żydowską od pozostałej ludności, ale pragnąłby osobiście rozstrzelać jak największą liczbę Żydów. Zanosiło się na porządną awanturę, a poszkodowanymi, najprawdopodobniej, byłbym ja i inny jeszcze zatrudniony na stacji robotnik. (...) Struchleliśmy. Co robić? Jak się ratować z tej opresji? Na szczęście mój znajomy, mówiący biegle po niemiecku, uspokajał jednego i drugiego, wskazując na jałowość tej dyskusji, ponieważ do niczego nie prowadzi i w niczym nie zmieni oficjalnej polityki Niemiec do Żydów. (...) Przez wiele dni unikaliśmy spotkania z Banschutzem. Tak było bezpieczniej...*

Większość robotników zatrudnionych na stacji, żeby przetrwać i nie umrzeć z głodu żebrała do niemieckich żołnierzy o jedzenie. Dotyczyło to w pierwszej kolejności tych Żydów, którzy pochodzili z okolicznych miasteczek, jak Dobre, Jakubów, Siennica, Kołbiel i inne. Mieszkali oni na strychach lub kątem u kogoś w kuchni. Ich domy i dobytek nie istniały. Chodzili brudni i obdarci. Grupa ta uważana była za „dziką", „nieokrzesaną" i „nieopanowaną", co spowodowane było ogromnym głodem. Gdy przyjeżdżał niemiecki transport, biegli oni co sił do wagonu z polową kuchnią w nadziei otrzymania jakiejkolwiek strawy. Skromne posiłki zaś regularnie dostawali tylko od judenratu.

W 1941 r. kolejowa placówka uległa likwidacji. Część Żydów znalazła jednak nowe zatrudnienie w niemieckim Czerwonym

Krzyżu. Praca ta organizowana była poza miastem w nieznanej z nazwy wsi. L. Guz wspomina: *Codziennie, skoro świt, zbieraliśmy się na rynku, przed budynkiem judenratu. Następnie wędrowaliśmy piechotą, blisko cztery kilometry, do miejsca pracy. Było lato, przyjemnie się szło. (...) Postronny obserwator mógłby sądzić, że nic ostatecznie się nie dzieje - ludzie chodzą do pracy, dostają wyżywienie, nikt ich specjalnie nie prześladuje. Tylko żyć i niczym się nie przejmować... (...) Oczywiście nikt z nas nie przypuszczał, jaki los czeka nas w najbliższych miesiącach.*

Praca w tej placówce polegała na rozładowywaniu ciężkich ładunków ze sprzętem medycznym. Podczas jednej z takich akcji rozładunkowych robotnicy zostali pobici pałkami i szpicrutami. Dopiero interwencja judenratu, okupiona pieniędzmi i kosztownościami, spowodowała, że bicia i poniżania zaprzestano. Również i na tej placówce robotnicy żydowscy masowo okradali niemieckie magazyny. Wynosili: strzykawki, nożyczki, lancety etc., które sprzedawali lekarzom lub potrzebującym osobom prywatnym. Część trafiała do ludzi kryjących się w lasach. Gdy zjawisko to zostało wykryte, niemieccy strażnicy zaprowadzili baczniejszą kontrolę, przeprowadzali też rewizję. W rzeczywistości jednak między Niemcami a żydowskimi robotnikami panował specyficzny układ, umożliwiający okradanie magazynów: *Pewnego dnia, gdy byliśmy gotowi do wyjścia, jednemu z robotników wypadłz kieszeni kawał mydła. Wszyscy struchleli, ponieważ przeważnie każdy miał przy sobie skradzione rzeczy. (...) Niemcy wpadli we wściekłość. Najgorzej oberwał osobnik, któremu mydło wyślizgnęło się z kieszeni. Inni również dostali porządne baty i na tym cała afera się zakończyła. Z czasem robotnicy nawiązali kontakt z niektórymi Niemcami i za stosunkowo niewielkie sumy mieli spokój i możliwość bezkarnego przywłaszczania świętej - jak mawiali hitlerowcy - własności Rzeszy Niemieckiej.*

Oprócz tych placówek działał żydowski obóz pracy w Janowie. Było to pierwsze tego rodzaju miejsce, które powstało w bezpośrednim sąsiedztwie Mińska. Utworzono go 1940 r. Liczba Żydów w nim przebywająca nie jest znana. Prawdopodobnie, jak w przypadku innych tego rodzaju obozów ilość wyzyskiwanych tam robotników wahała się od 100 do 300 osób. Wiemy, że jednym z grupowych, koordynującym pracę 60 Żydów był Gerszon Szarfsztejn, vel Tadeusz Skoczeń.

Praca w nim polegała na budowie lotniska, którą prowadziła firma Rechman. Kopano tam doły, w których umieszczano pojemniki na benzynę, budowano hangary etc. Charakterystyczne, że na początku Żydzi z grupy Szarfsztejna nie stykali się z Niemcami - podlegali polskiemu inżynierowi. Z tego powodu warunki tam były dobre, a wręcz uważano miejsce to za najlepszą placówkę spośród wszystkich. Miało to jednak i złą stronę, gdyż każdego ranka, gdy grupa formowała się do pracy, próbowali do niej dołączyć „nowi". Udawało się to jednak tylkotym, którzy byli w stanie zapłacić stosowny okup grupowemu. Oprócz relatywnie dobrych warunków, praca we wspomnianej grupie miała jeszcze jeden plus - pożywne jedzenie. Przed

wymarszem robotnicy ci otrzymywali ćwierć kilograma chleba, następnie w Janowie obiad o godzinie 12.00, który fundowała firma. Wyżywienie to wśród Żydów, w tamtych czasach postrzegano jako luksusowe. Inne plusy tego miejsca polegały na tym, że istniała możliwość podkradania artykułów medycznych i higienicznych, jak waty, opatrunków, gazy, mydła i jodyny. Rzeczy te wynoszono z niemieckich magazynów.

Sytuacja w janowskim obozie zmieniła się, gdy do grupy Szarfsztejna, a także zapewne pozostałych przydzielono niemieckiego żołnierza, który sprawował nad nią nadzór. Ściślejsza kontrola została zaprowadzona w 1941 r., gdy III Rzesza zaczęła przygotowania do wojny z ZSRR. Wówczas na lotnisku zwiększono liczebność i gęstość posterunków. W zamaskowanych hangarach stało dużo samolotów. Pojawiły się także tabliczki, wzbraniające przebywania w najbliższej okolicy.

Były jednak i momenty bardziej pokrzepiające. L. Guz wspomina: *W czasie rozmowy z żołnierzem, który nas nadzorował (...) sugerowałem, że należy (...) oczekiwać wybuchu wojny z Rosją. Przez chwilę milczał, rozglądając się na wszystkie strony. Zbliżył się do mnie. W tym momencie ogarnął mnie strach. Po jakiego diabła - robiłem sobie wyrzuty - rozpocząłem rozmowę na tak kontrowersyjny temat. Dostrzegł moje zaniepokojenie i ruchem ręki wskazał, abym się zbliżył do niego. Oczekiwałem czegoś najgorszego. On, jak gdyby nigdy nic, oświadczył mi, że w wypadku, gdy zostanie odtransportowany na front wschodni i wypadnie strzelać do rosyjskiego robotnika, wówczas rzuci broń lub przejdzie na drugą stronę. Byłem oszołomiony tą deklaracją, nie wiedziałem, co powiedzieć, jak się zachować. Mruknąłem coś pod nosem i szybko się oddaliłem. To było doprawdy szokujące! Po raz pierwszy zetknąłem się z Niemcem, który - jak wynikało z jego słów - był komunistą, a może socjalistą, w każdym razie człowiekiem.*

Na przypadkowych robotach z tzw. „łapanki" było inaczej. Tam bito i nie przyznawano wynagrodzenia ani jedzenia. Do takich zaliczano np. rozładunek kamieni, uważany za jedną z najgorszych prac. Kamienie nikomu nie były potrzebne, więc nie można było ich sprzedać. Poza tym, Żydzi wykańczali się w takich miejscach zdrowotnie. Zmieniał się nawet ich kolor skóry. Działo się to przy mieszaniu kamieni ze smołą, która to zaprawa służyła do naprawy i układania dróg.

Omawiając problem pracy przymusowej, nie sposób nie wspomnieć o żydowskim ruchu oporu wobec niemieckiego okupanta. Mianowicie, w Jom Kippur 1941 r., w jedno z najważniejszych żydowskich świąt, część Żydów odmówiła wyjścia do pracy. Wszelkich działań zaprzestała także policja i wydział pracy judenratu. Większość skierowała się do synagogi i bożnic. W reakcji na tę „niesubordynację" Niemcy, rękami SS i SD, urządzili słynne ze zdjęć „skoki", polegające na biciu i poniżaniu ludności żydowskiej, spędzonej na Rynek. Przetrwał wizerunek portretujący całe zdarzenie raczej jako akt poniżenia i upokorzenia niż bestialstwa i okrucieństwa.

„Zabawa" ta trwała parę godzin.

Jom Kippur 1941 r. zamieniło się w pasmo cierpień...

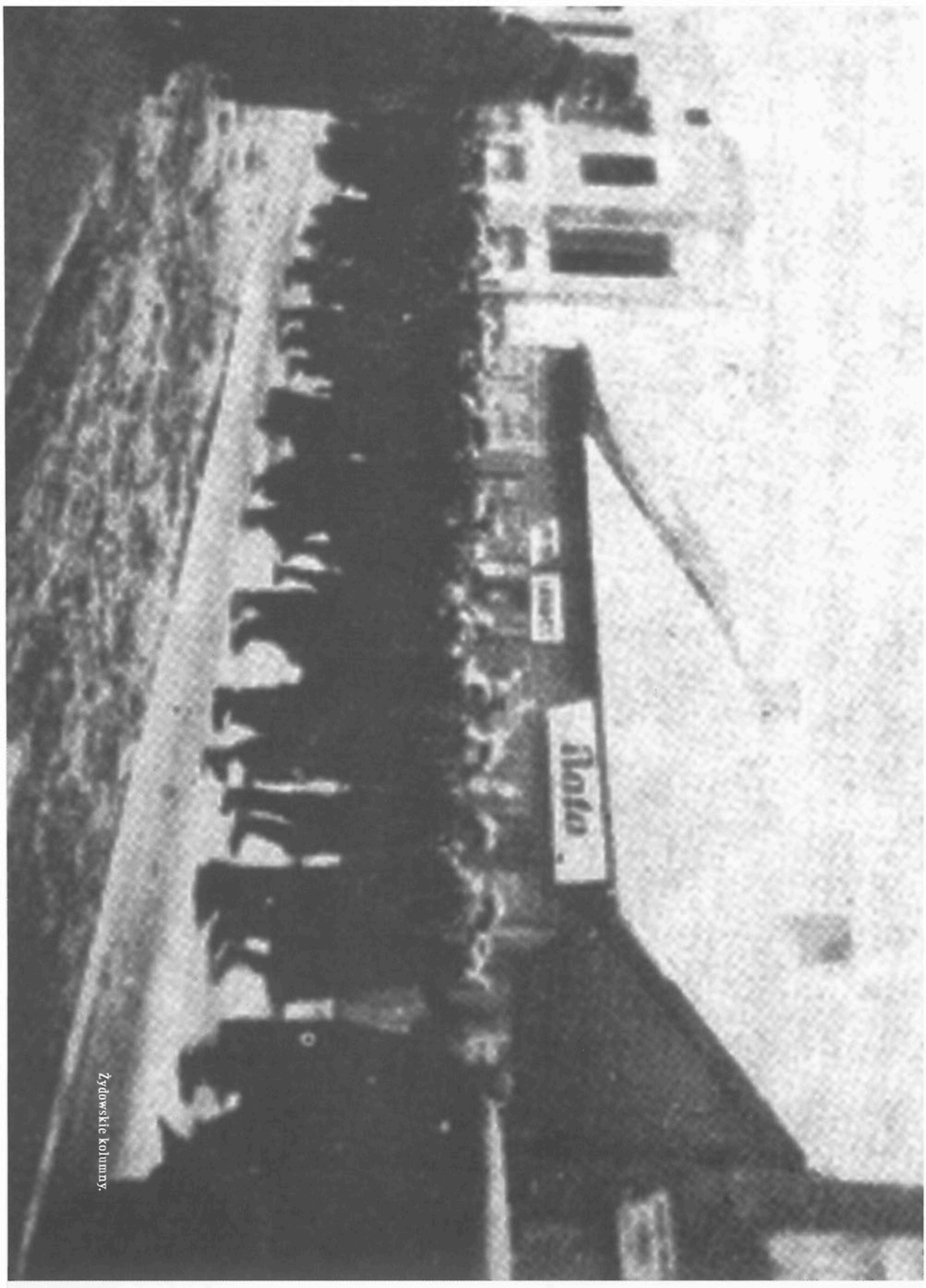

Żydowskie kolumny.

AKCJA REINHARDT" – 21 sierpień 1942 r

Akcja deportacyjna zaczęła się nad ranem 21 sierpnia 1942 r. Likwidacja mińskiego getta stanowiła element szerszego zamierzenia, który przybrał kryptonim „Akcji Reinhardt".

Od Stojadeł do miasta wkroczyły niemieckie siły policyjne. Na wysokości pl. Kilińskiego rozpoczęła się strzelanina. Żydów wyłapywali funkcjonariusze Kripo i Sonderdienstu. Getto zaś, aby nie można było się z niego wydostać, otoczyli Ukraińscy, popularnie nazwani „Trawnikami", Łotysze, Litwini i Gendarmerie. Tyły zabezpieczała polska policja. Akcja poprzedzona została naradą w starostwie. Na spotkanie to przyszli, oprócz Bittricha i jego ludzi, w tym referenta do spraw żydowskich nazwiskiem Botz, także dowódca miejscowego plutonu żandarmerii Bezirksoberleutnant - Friedrich Nikolaus, szef Kripo - Julius Szmidt i esesowski podoficer nazwiskiem Anker, który kierował akcją „wysiedleniową".

Złapanych Żydów spędzano na Rynek. Tych, którzy nie chcieli podporządkować się temu zarządzeniu, zabijano na miejscu. Na Rynku zgromadzonym Żydom kazano usiąść, nie wolno było się poruszać i rozmawiać.

Grozę przeżyli także żydowscy robotnicy, zatrudnieni na „placówce" w nasycalni w dawnej fabryce Rudzkiego. Wielu z nich na wieść o wydarzeniach z 21 sierpnia uciekła do okolicznych lasów lub na wieś do znajomych chłopów. Inni ukryli się pod zwałami drewna, nagromadzonego na placu w nasycalni. Pozostali zorganizowali delegację do grupowego żydowskich robotników, którym był w tamtym czasie mężczyzna nazwiskiem Kowalczyk, aby ten nie dopuścił do zabrania z fabryki żydowskiej grupy na Rynek. Kowalczyk, wedle jednej z relacji, znany był ze złego traktowania podległych mu pracowników, szturchał ich i kopał, lecz na wieść o tragicznym przebiegu akcji „wysiedleńczej" prośbę Żydów potraktował bardzo poważnie. Mimo jego starań, wedle niemieckich zbrodniczych planów, Żydzi mieli stamtąd zniknąć. W tym celu wobec Żydów zgromadzonych w nasycalni użyto podstępu. Przedstawiciel Sonderdienstu, niemiecki inspektor i polscy urzędnicy wytłumaczyli żydowskim robotnikom, że muszą udać się na Rynek w celu odebrania legitymacji uprawniającej do pozostania na dotychczasowym miejscu pracy. Jednocześnie przemawiający niemiecki urzędnik, zagroził, że ci, którzy nie odbiorą legitymacji zostaną rozstrzelani. Nie mieli wyjścia i poszli...

Do końca dnia na ulicach mińskiego getta zabito od 800 do 1000 Żydów. Przez cały dzień furmanki zwoziły trupy na kirkut, gdzie w naprędce wykopanym dole je pochowano. Pozostałych przy życiu, wieczorem, czwórkami niemieccy oprawcy zapędzili na stację kolejową, gdzie czekały na nich bydlęce wagony. Transport ruszył jednak dopiero rano. Ulice, po których maszerowali skazani na zagładę Żydzi, jak Nadrzeczna, Siennicka, Mostowa, Spółdzielcza i Piłsudskiego usłane były trupami. Podobnie punkt koncentracyjny przy stacji, w okolicach ulicy Pięknej. O świcie wagony ruszyły do obozu zagłady, do Treblinki...

I rozpoczęło się piekło na ziemi...

Jak piorun z jasnego nieba bandyci wpadli do miasta. Byli pijani, rękawy mieli zakasane. Mieli dzikie mordy i lecieli, jak szczute psy. Ryczeli, jakby na nich ktoś lał gorącą wodę czy parzył słomą. Rozpoczęło się piekło na ziemi. Rycząc strzelali do każdego, kto nosił opaskę. Siali strach i śmierć. A ranni krzyczeli. Krzyczeli też mordercy, krzyczeli uciekający. Wielu rannych leżało na ulicy i jęczało godzinami aż zmarli.

Znikoma część uciekła z miasta. Reszta została spędzona na rynek z tobołeczkami w ręku. Płacz, zgiełk i lęk, a do tłumu co chwila z innej strony padały strzały z karabinów maszynowych. Hitlerowcy nie zapomnieli ustawić skrzynki w rogu rynku. Polecili wrzucać do niej kosztowności. Nie zapomnieli również sami z niej wykradać. Nie przeszkadzało mordercom zabieranie do własnej kieszeni pieniędzy ze śladami krwi ofiar. Pchali do kieszeni ile wlazło. Rewidowali trupy. Zdejmowali pierścionki, zegarki, a z kieszeni wyjmowali pieniądze.

Tłum kołysał się z bólu. Płacz i lament słychać było na wiele kilometrów, ale to nie przeszkadzało hitlerowcom. (...) Znaleźli sobie pomocników - Ukraińców, Litwinów i Łotyszy - którzy strzelali z karabinów maszynowych gdzie popadło. Dzieciom rozbijali głowy o mur. Po prostu łapali dzieci za nogi i bili głowami o mur. Makabryczność tego widoku doprowadzała do szału ludzi o najsilniejszych nerwach. Widok kobiet i dzieci leżących na ulicach z roztrzaskanymi mózgami i rozciętymi brzuchami nie odwracał oprawców od morderczych zamiarów. Skrzynie z wódką towarzyszyły im dla jeszcze większego pobudzenia morderczych instynktów. Pod wieczór ludność miasta została zapędzona w ostatnią drogę w kierunku dworca kolejowego. (...) Skupione rodziny szły patrząc na pozostawione miasto, na dorobek pokoleń, na porzuconą nędzę. (...) Patrzyli na tych dobrych, którzy przyjęli na przechowanie futra, srebrne nakrycia, lepsze ubrania, dywany.(...)Zwłoki im towarzyszyły przez całą drogę, te zwłoki ich żegnały w drodze na śmierć... Tłum szedł na dworzec płacząc i lamentując. Synowie nieśli starych rodziców na plecach. Niektórzy dostali obłędu i śmieli się w głos. Hitlerowcy nie zapomnieli przy tym wybierać ładne kobiety i gwałcić je na oczach rodziców, a potem kulą płacili za przeżytą „rozkosz".

Przez całą noc ludzie przesiedzieli na rampie kolejowej i oczekiwali na wywapnowane wagony towarowe. Wagony wysypywano wapnem żeby w czasie transportu ludzie się dusili (...) Do wagonów ludzie wnieśli wielu postrzelonych, którzy w męczarniach zmarli. Trupy służyły za ławki...

Ch. Kirszenbaum

Atmosferę nocy z 21 na 22 sierpnia na rampie kolejowej odtwarza L. Guz: *Wraz z ciemnością ogarnęło nas znużenie. Zmęczeni i zmaltretowani ludzie układali się na peronie i zasypiali. Położyłem się również, najbliżej furtki. Ucichł płacz i szum, zapanowała niezmącona niczym cisza nad miejscem, gdzie działa się największa zbrodnia w historii świata. Była to przeraźliwa cisza, przepełniona beznadziejnością i rezygnacją. W tym czasie na stację wjechał transport wojsk włoskich udających się na front wschodni. Wraz z nimi do stacji śmierci wtargnęło zawodzenie gitar i śpiew żołnierzy. Oni się jeszcze cieszyli, nie zdawali sobie sprawy, co ich czeka. A przecież większość z nich także jechała na śmierć. Tylko, że to była inna śmierć...*.

Nielicznym udało wyrwać się z niemieckiego okrążenia. Dina Tetenbaum wydostała się z Rynku, L. Guz zaś z rampy kolejowej. Ich brawurowe ucieczki świadczą o odwadze, lecz także niezwykłym szczęściu.

W 2012 r., tuż przed obchodami 70. rocznicy zagłady mińskiego getta przeprowadziłam rozmowę z Diną. Jest ona wnuczką znanego przed wojną w Mińsku rejenta Jonasza Lewentala. Przed 1939 r., razem z rodzicami żyła w Warszawie przy ul. Karmelickiej 24. Mieszkało na niej wielu nabożnych Żydów, dlatego dobrze zapamiętała pierwsze niemieckie szykany wobec Żydów polegające na ciągnięciu i obcinaniu im bród. Matka utrzymywała dom z wyrobu kołder puchowych, ojciec zaś pracował jako buchalter w fabryce futer. W czasie okupacji w wyniku trudnych warunków w stolicy rodzina ta przeniosła się do Mińska, gdzie mieszkali dziadkowie Diny. Dina wspomina swoją ucieczkę z mińskiego rynku w dnu 21 sierpnia: *Tak byłam tam. Byłam na tym mińskim umschlagplatzu. Obok naszej rodziny była babcia z córką i z wnuczką. Dziecko miało brązowe włosy i loki. Gdy zaczęło płakać, rozwalili je o słup telegraficzny... Matka krzyczała, oj, jak strasznie krzyczała. A potem moja babcia, Rachela, dała mi bańkę z mlekiem, żebym wyszła z Rynku niby, że nie jestem Żydówką. Przeszłam więc nie zauważona przez nikogo na drugą stronę ulicy Warszawskiej. Ale tam zobaczył mnie polski policjant i powiedział: „Ty jesteś przecież wnuczką Lewentala! Wziął mnie za rękę i zaprowadził z powrotem na Rynek...*

Pamiętam też, że to był piątek. Wieczorem rabini wstali się modlić. Niemcy tylko na to czekali i zaczęli do nich strzelać gdzie popadnie. Kuzynka siedząca obok mnie dostała kulę w dołek pod szyją, krew trysnęła jak fontanna, słyszałam jej charczenie, wszystko było we krwi, my i ona. Pamiętam jak upadała to włosy rozrzuciły się jej naokoło głowy. Dobrze zapamiętałam ten widok. Pierwszy raz widziałam wtedy umierającego człowieka. Krew, krew i tylko krew... Jak ja to przetrwałam? To było straszne, straszne... Co dalej? Otóż, w końcu ruszyliśmy na stację. Szliśmy Siennicką. To była wąska ulica, z dwóch stron stały wysokie płotki, tak że podwórka z ulicy nie można było zobaczyć. Babcia wepchnęła mnie do jednego z takich podwórek i nakazała uciekać do Herta. Ja wcale nie chciałam, bałam się zostać sama, ale ona na to nie zważała. A potem pamiętam, że znalazłam się na ul. Warszawskiej. Miałam takie drewniane sandałki, jak biegłam po drewnianym moście nad Srebrną, to one tak dudniły. Myślałam, że

słyszy mnie całe miasto, że ja uciekam. Dotarłam do żydowskiego młyna na Warszawskiej. Przed domem leżały zwłoki rodziny, która go prowadziła. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale położyłam się między te trupy i zasnęłam. Potem, wedle polecania babci, poszłam do Herta. Schował mnie w komórce. Pamiętam tę noc w tej komórce, w zaplamionej krwią sukience... Siedziałam tam kilka dni, a Hert cały czas dostarczał mi jedzenie. A potem byłam w „Koperniku", skąd Hert zabrał mnie na warszawską Pragę, gdzie przy ul. Brzeskiej 6 wraz ze mną ukrywało się 12 Żydów.

L. Guzowi również udało się wydostać z okrążenia. Zbiegł on z rampy kolejowej w nocy z 21 na 22 sierpnia. Wywinął się więc śmierci w ostatnim momencie. Pozostawił następujący opis swojej heroicznej ucieczki: *Obserwowałem Ukraińca, który stał przy furtce. Kilkakrotnie opierał się o karabin, głowa opadała mu na pierś i w takiej pozycji pozostawał przez kilka chwil. Drzemał. Pozycja taka nie była wygodna. Często się budził, ogarniał wzrokiem swój rewir i znowu zapadał w drzemkę. Widać było, że z trudem stoi na nogach, a sen zupełnie go rozbraja. (...) Wreszcie kucnął przy furtce, umieszczając karabin między nogami. Zapadł w sen. (...) W tej chwili zaistniał sprzyjający moment, aby uciekać. (...) Przypominam sobie, jak mocno biło mi serce. Wolno pełzając, zbliżyłem się blisko do Ukraińca. Zdawało mi się, że poruszył się. Znieruchomiałem i wytężyłem słuch. Nie miałem żadnych wątpliwości, że śpi. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, starając się przedostać przez niego, nie podnosząc się zbyt wysoko, aby moja sylwetka nie była widoczna przez Ukraińców, którzy mieli posterunki w pobliżu tej furtki. Przełożyłem nad śpiącym Ukraińcem jedną nogę, a następnie rękę. Czułem jego oddech na mojej twarzy. Szybko przełożyłem drugą nogę i znalazłem się na ulicy, jakby za kordonem. Instynkt nakazywał mi, abym się jeszcze nie podnosił. Przeczołgałem się przez jezdnię i będąc już na chodniku wstałem i zacząłem uciekać, prawie na oślep. Pędziłem jak opętany, padając co chwila. Dookoła mnie panowały nieprzeniknione ciemności.*

L. Guz trafił następnie do domu Kazimiery Leszek, u której dowiedział się, że jego żona znajdowała się w tłumie Żydów zgromadzonych na Rynku[1]. Wiadomość ta bardzo go podłamała. Zapisał: *Załamałem się zupełnie. Wyszedłem od pani Kazimiery z postanowieniem udania się z powrotem na stację, by podzielić los żony. Rezygnacja moja była kompletna, myśl została jakby wyłączona. Szedłem śmiało jedną z głównych ulic miasta, niczym lunatyk. Znajdowała się ona poza granicami żydowskiej dzielnicy, mimo to wyglądała jak krwawe pobojowisko. Co kilka kroków leżały trupy w kałużach krwi. Przerażający był widok dziecka z zastygłym wyrazem strachu na twarzyczce, z otwartymi, już martwymi oczami. To straszne! (...) Mijałem trupy, rejestrując na zimno to wszystko, co przesuwało się przed moimi oczami. Nie odczuwałem strachu. (...) Ulica Kościuszki, którą podążałem, znajdowała się w pobliżu stacji. Nie spotkałem nikogo. Na horyzoncie rysował się już budynek stacyjny. Nagle usłyszałem jakieś krzyki. Odwróciłem się w przekonaniu, że to hitlerowiec mnie woła. Chciałem go prosić, aby mnie nie zastrzelił, gdyż idę do transportu, gdzie znajduje się moja żona. Zamierzam razem z nią umrzeć. Zawiodłem się. Na schodach*

[1] Żona L. Guza przeżyła okupację.

stacyjnego budynku stał polski kolejarz, który w niewybredny sposób wyrażał swoje oburzenie moją obecnością w tym miejscu. Uciekaj, głupcze – krzyczał. Pod wpływem jego słów i gestykulacji odruchowo się cofnąłem i nagle wróciły wszystkie normalne reakcje ściganego zwierza. (...) Teren przystacyjny zamieszkany był gęsto przez Niemców, zawsze w pobliżu można było ich spotkać. Ruszyłem w przeciwnym kierunku, to jest do miasta.

Alicja Guz, żona L. Guza.

PO ZAGŁADZIE Zapłonęli ciężarowcy dalszą

Resztki i zgliszcza „Kopernika".

Wielu Żydów po „akcji likwidacyjnej" ukrywało się na terenie miasta na własną rękę. Wykorzystywano do tego celu piwnice, strychy i inne trudno dostępne „nory". W takich warunkach trudno było jednak przetrwać. Każde wyjście, np. po wodę, wiązało się z ogromnym ryzykiem. Dokuczały: brak jedzenia, chłód, brak warunków sanitarnych, wszy i pluskwy. Dlatego część Żydów z takich miejsc Niemcy stosunkowo łatwo wyłapywali. Kierowano ich następnie do miejscowej komendantury, skąd posyłano do Kałuszyna, stamtąd zaś prosto do Treblinki. Inni ukrywali się po lasach, a nielicznym udało się stworzyć partyzanckie grupy w okolicach Łukowa.

Ważną kwestią po zamordowaniu mińskich Żydów było zagadnienie ich majątku. Kilka dni po zakończeniu akcji likwidacyjnej getta, po opustoszałej dzielnicy żydowskiej, za zgodą Niemców, masowo grasowali Polacy, zarówno z miasta, jak i ze wsi, którzy dokonywali grabieży resztek pozostawionego przez Żydów majątku. Najlepsze „kąski" zgromadziła jednak ekipa Szefera. Szefer był przedwojennym restauratorem. W czasie wojny zapisał się na niemiecką listę narodową jako volksdeutsch. Jego restauracja mieściła się w Mińsku, na rogu Piłsudskiego i Daszyńskiego (obecna restauracja Stylowa), na której drzwiach widniał napis: Nur für Deutsche. W żydowskich wspomnieniach nie zapisał się on całkowicie negatywnie. Pamiętano, że w miarę możliwości pomagał, zarówno Polakom, jak i Żydom. Inni mińscy volksdeutsche na każdym kroku podkreślali swoją nienawiść do obu narodowości, gorliwie tropili i wydawali ich na śmierć.

Szefer w porozumieniu z niemieckim okupantem zdobył monopol na wyprzedaż pozostałego w getcie żydowskiego majątku. Zgromadził go w synagodze przy ul. Nadrzecznej. Żydowski dobytek, składający się w większości z mebli, został wyprzedany mieszkańcom Mińska na opał.

Na to, co działo się w getcie patrzyła garstka około 500 Żydów, których pozostawiono przy życiu i skierowano do pracy. Selekcja odbywała się na rampie kolejowej. Prowadził ją kierownik mińskiego Arbeitsamtu, Heinzl, a także towarzyszący mu dwaj inżynierowie z dawnej fabryki Rudzkiego, przedstawiciele firmy budowlanej Wolfer & Goebel oraz dwaj żydowscy policjanci.

Osoby te skoszarowane zostały w żydowskim obozie pracy, zwanym „Kopernik". Przed wojną była to polska szkoła im. Mikołaja Kopernika. Uczyło się w niej 500-600 dzieci, których nauczało 14 pedagogów. Tuż przed wojną kierownikiem „Kopernika" był Józef Jaworski. Dzieci żydowskie do niej nie uczęszczały. Wydzielono im odrębną szkołę, zwaną „szabasówką".

W ten sposób trzypiętrowy szkolny budynek stał się jedynym miejscem, gdzie pozwolono Żydom legalnie egzystować. Robotnicy spali tam na siennikach pełnych pcheł. Obóz ten jak film grozy wspomina Ch. Kirszenbaum: *Gdy wszedłem do pierwszej sali, ujrzałem piętrowe łóżka, na których mężczyźni spali z kobietami. Nikt nie zwracał uwagi na to, że w sali było co najmniej*

pięćdziesiąt osób. Pili wódkę, kradli co się dało, wzajemnie się okradali. Uprawiali zbiorowy seks. (...) Małżeństwo leżało w łóżku, przyszedł do łóżka inny mężczyzna i żył z jego żoną, a mąż leżał obok, jakby go nie było.

Postrachem obozu było siedmiu łobuzów, którzy prowokowali wszystkie awantury. *Przed likwidacją getta byli porządnymi ludźmi. Zdziczeli w warunkach, w jakich się znaleźli.* W śmiertelnym zagrożeniu dwoje młodych ludzi zapragnęło się pobrać. Świadkami byli współwięźniowie, na ślubie nie zabrakło nawet butelki wina. Dowiedziała się o tym „siódemka". Poszli na dach, gdzie odbywała się uroczystość, sprowadzili pannę młodą na salę i tam po kolei ją gwałcili. *Gdy skończyli* – wspomina Ch. Kirszenbaum – *powiedzieli panu młodemu, że teraz może już on. (...) Dla pozostałych była to zabawa. Po godzinie już nikt o tym nie pamiętał. Ważniejsze było szukanie chleba.*

„Siódemka" systematycznie wychodziła do getta, żeby ze stojących otworem mieszkań brać wszystko, co się jeszcze dało. Podczas tych wypraw nieraz musieli uciekać przed Polakami albo się z nimi bić. Opowiadali o tym z rozbawieniem, każdy z butelką wódki w ręce. Świat należał do nich, lecz – z czego zdawali sobie sprawę – nie na długo...

Robotnicy z „Kopernika" pracowali na terenie samego obozu, a także byli zatrudnieni we wspomnianej fabryce i w firmie Wolfer & Goebel, w której kierownikiem był Polak nazwiskiem Matysiak.

Wieści o ocalonej grupce błyskawicznie roznosiły się, docierając do ukrytych w lasach i kryjówkach Żydów. Dość szybko, z desperacji, nie mogąc sobie dać rady po aryjskiej stronie, żydowskie niedobitki wślizgiwały się do obozu. Ukrywały się tu całe rodziny, żyjąc nadzieją, że tym razem się uratują, że od tej chwili nie spotka ich nic złego. Niemcy patrzyli na to przez palce, bo oficjalnie, w papierach wysyłanych do Warszawy, mogło przebywać tam tylko 370 Żydów.

W jakiś czas po odesłaniu transportu do Treblinki przyszła pora na weryfikację stanu liczbowego zatrudnionych tam pracowników. Na placu zjawili się znani wszystkim miejscowi oprawcy: żandarm Gutbelert, szef Kripo Szmidt i jego zastępca Kazimierz Sowiński, a także kilku agentów policji po cywilnemu. Stali z rewolwerami i automatami gotowymi do strzału. Na ich rozkaz wszyscy musieli wyjść z budynku. L. Guz opisuje: *Tłum rzucił się w panice do drzwi wyjściowych. Na najwyższych piętrach żandarmi naglili do pośpiechu i ludzie oszaleli ze strachu starali się jak najszybciej wydostać na podwórze. Gdy ze wszystkich pięter ruszyła lawina ludzi na schody, powstało ogromne kotłowisko ciał. Tłum gnany impetem tych, którzy znajdowali się na wyższych piętrach, został tak stłoczony, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Stworzył się zator z ludzkich ciał. Nie byli oni w stanie wydostać się na podwórze.* Niemcy widząc, co się dzieje postanowili rozwiązać tę sytuację – *Sowiński (...) puścił serię z automatu w stłoczony tłum. Gdy ludzie zobaczyli słaniające się ciała i poczuli lepką krew na swoich rękach, zdobyli się na nadludzki wysiłek i utorowali drogę na podwórze* – pisze dalej Guz.

Przedstawienie na tym się nie zakończyło. *Gdy wszyscy znaleźli się na podwórzu, przystąpiono do wywoływania nazwisk tych, którzy pracowali w niemieckich placówkach przy wojsku. Nazwiska odczytywał Żyd, grupowy tych placówek, którego kontrolował - mając w ręku drugą listę - wyższy rangą oficer Wehrmachtu. Po wywołaniu nazwiska zainteresowany natychmiast wybiegał z szeregu i ustawiał się po przeciwnej stronie. (...) Każdy, nie zważając na dotkliwe razy hitlerowców - starał się dotrzeć na drugą stronę. Szła bezpardonowa walka o życie. Nie zawsze po drugiej stronie znalazł się ten, kogo wywołano. Decydował przypadek, zwinność, szybkość decyzji.* - kontynuuje Guz. „Zabawa" ta miała na celu dodatkowo upokorzyć Żydów. Istnienie listy, wedle której dokonywano weryfikacji miało czysto formalne znaczenie. Zamordowano wówczas około 200 osób.

Po tej „akcji" reszcie ocalałym kazano klęknąć, a następnie rozkazano udać się z powrotem do budynku. W środku „Kopernika" doszło do zbiorowej histerii. Przy narożniku ukazał się wstrząsający widok: *Niby góra łachmanów leżały ciała ludzkie, ofiary strzałów, które niedawno słyszeliśmy. Cały teren skąpany był we krwi. Niektóre ciała jeszcze się poruszały, a jedna z ofiar usiłowała coś powiedzieć.* Po wydarzeniu tym wyselekcjonowano także specjalną grupę, którą umieszczono w sąsiednim budynku, tak zwanym domu Jurczaka. Dodajmy, że specjalnie uprzywilejowany krąg tworzyli tzw. rzemieślnicy, traktowani jako fachowcy, w przeciwieństwie do zwykłych pracowników fizycznych.

Skoszarowani w „Koperniku" Żydzi, jako przymusowi robotnicy, po wspomnianym mordzie nadal pracowali na dawnych placówkach, m.in. u wspomnianego już Matysiaka. Osoba ta dzięki różnym machinacjom dorabiała się na nieszczęściu innych znacznego majątku. Obdarowanie go „brzęczącą monetą" lub innymi „prezentami" powodowało, że część pracowników była faworyzowana, otrzymując lekką pracę. Ogólnie jednak Żydzi stronili od tego osobnika, a nawet się go bali, gdyż potrafił on meldować, iż dany Żyd nie nadaje się do pracy,co oznaczało w praktyce wyrok śmierci. Pozostali nieuprzywilejowani musieli ciężko pracować, np. przy wyładowywaniu

z wagonów na furgony trzepanego lnu, który przy poruszaniu bardzo się kurzył, utrudniając oddychanie. Za tego rodzaju ciężką fizyczną pracę otrzymywali na śniadanie kawę i kawałek chleba, na obiad zaś podawany o godzinie 18.00 - zupę, przeważnie z brukwi, w środku której rzadko pływał kawałek kartofla. Warunki pogarszały się, gdy nadzór nad pracą przejmował Niemiec. L. Guz zapamiętał nazistę o przydomku „Wariat", który po całodziennej pracy pełnej znoju, musztrował podległych sobie Żydów - chodziło mu w szczególności, aby wszyscy idący w kolumnie zachowywali idealną prostą linię w szeregu oraz jednakowy krok.

Inni skierowani zostali do pracy w fabryce Rudzkiego. w tzw. nasycalni, tj. w zakładzie, w którym impregnowano drewniane słupy telegraficzne, podkłady kolejowe etc. Po akcji likwidacyjnej pracowało tam około 50 Żydów. Nie mieszkali oni w „Koperniku", lecz na terenie fabryki w hali nieczynnej elektrowni. Początkowo warunki bytowe tam były zdecydowanie gorsze niż w „Koperniku". Większość okien pozbawiona była szyb. Dzięki życzliwości kierownika tej placówki, inżynierowi Smadze, sytuacja ta uległa zmianie. Żydom dostarczono sienniki oraz deski, z których wykonali nary. Mogli korzystać także z kuchenki. Opiekę medyczną nad nimi w razie choroby sprawował dr Olgierd Mackiewicz. W zimę jednak warunki mieszkaniowe przedstawiały się katastrofalnie.

Do ogromnych plusów placówki „Rudzki" zaliczał się fakt, że nie przybywali do niej Niemcy. Styczność z Żydami mieli tylko polscy robotnicy i inni tam zatrudnieni. Dzięki temu zaistniała możliwość szerszej pomocy. Np. fabryczny rymarz o nieustalonym nazwisku dożywiał L. Guza, jego żonie zaś sprawił nowe buty. Pani inżynierowa Smagowa zaś podarowała jej metrykę chrztu, pozostawioną przez bliżej nieznaną dziewczynę, którą zabrano na roboty do Niemiec. Niemcy pojawiali się w fabryce sporadycznie, za każdym

Zniknęli w jeden dzień - nasi żydowscy sąsiedzi

razem jednak zbierając żniwo śmierci. W pierwszej kolejności wyłapywali ludzi starych.

Gdy obóz „Kopernik" ponownie odpowiednio „napuchł" Żydami, w listopadzie 1942 r. Niemcy rękami swojej policji i żandarmerii, trzymając się wytycznych, ogłosili, że zmniejszyli liczbę Żydów z 370 do 220. 10 grudnia wysłano ich do getta szczątkowego w Kałuszynie, z którego, w końcu tego miesiąca (1942 r.) udali się do obozu śmierci w Treblince. Pułapka ta więc nadal działała.

Kolejny etap wymordowywania ostatnich mińskich Żydów miał miejsce w Wigilię Bożego Narodzenia 1942 r. Podpici i podochoceni Niemcy, po rewizji odkryli kilka kryjówek. Był to wystarczający pretekst. Rozpoczęły się egzekucje... Na cmentarzu żydowskim rozstrzelano 218 Żydów. Były to głównie żony i dzieci oficjalnie zarejestrowanych robotników.

Stopniowa eksterminacja obozu zakończyła się w kilkanaście dni później – 10 stycznia 1943 r. Tym razem Żydzi postanowili się bronić. Pierwsza do ataku rzuciła się około 30-osobowa grupa prowadzona na kirkut. Skazańcy zaatakowali eskortę z łomami, kawałkami żelaza i kamieniami. Pierwszy, według relacji Efraima Siedleckiego, na jednego z esesmanów rzucił się Henoch Gartenkranc, mając do dyspozycji właściwie tylko kawałek tępego żelaza. Krawiec, Mosze Grynberg, krawieckimi nożycami rozpłatał głowę drugiemu oprawcy. W wyniku starcia zmarł jeden Niemiec, trzech zaś było rannych.

Chwile szczęścia – ślub Rochmanów.

Ślub Guberków.

W „Koperniku" żywcem spłonęli przede wszystkim młodzi Żydzi.

Prawdopodobnie wydarzenie to stało się czytelnym hasłem do obrony dla pozostałych, zgromadzonych w „Koperniku". *Tylko trupy nasze stąd wydostaniecie* – krzyczeli Żydzi, obrzucając czym popadnie podchodzących do budynku Niemców. Na krótko zmusili ich do odstąpienia od budynku. Niebawem rozpoczęła się seria z karabinów maszynowych. Do środka wpadały jedna za drugą bomby zapalające. E. Siedlecki relacjonuje: *Gdy ogień przybrał na sile, Żydzi zaczęli wybiegać z budynku. Przedzierali się przez ogień, pod gradem kul. (...) Gołymi rękami wyrywali kamienie z bruku i rzucali je na morderców. Ogień się wzmagał i przechodził na sąsiednie baraki i budynki. Ludzie zeskakiwali z pięter (...). Rozpaczliwe, mrożące krew w żyłach okrzyki ofiar unosiły się po całym miasteczku.* Wszyscy pozostali w budynku spalili się żywcem.

Po całym dniu rozpaczliwej walki szef mińskiego SS, Nikolaus, mógł sporządzić raport, który zawierał informację o wymordowaniu około 250 Żydów.

Ostatni masowy akt zbrodni na Żydach dokonał się 5 czerwca 1943 r., gdy zastrzelono grupkę mińskich Żydów, którzy przebywali w dawnej fabryce Rudzkiego.

Dopiero dzięki informacjom powojennym wskazano miejscezamordowanych i spalonych w „Koperniku" Żydów. Osobą, która złożyła stosowną relację był burmistrz Mińska, Stanisław Jurkowski. Wskazał on, iż ciała zwalono nie tylko do zbiorowej mogiły na cmentarzu żydowskim, lecz także do dołów w lesie pod wsią Chochół oraz na terenie dawnego majątku

hr. Dernałowicza, przy ul. Kościelnej, w pobliżu cmentarza parafialnego.

Kobiety i dzieci pogrzebano w masowym grobie na kirkucie.

ski
i

Mi[illegible]sk, dnia 11. 10.1942.

1/

Vacuum-Oil Company A.G.

Krakau, Westring 42

Dotyczy: Sy[illegible]cha Gutgold, N. Libermensz i M. Rubinstejn
informację.

Na Nr. KJ/Sie. z dnia 3.10.1942.

Zawiadamiam, że o wyżej wymienionych nie mogę udzielić żadnych informacji, ponieważ żydzi z tut. miasta zostali wysiedleni.-

Burmistrz

/ Jagodziński /

Czarno na białym - jeden z dokumentów poświadczających Zagładę.

PO ARYJSKIE I STRONIE

Wydaje się, że stosunek Polaków do Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej z właściwymi proporcjami trafnie ocenił L. Guz. Stwierdził on, mając za sobą doświadczenia z Mińska, że rzadko spotykało się ludzi, którzy bezinteresownie śpieszyli z pomocą. Jego zdaniem, większość mińszczan zachowywała się obojętnie wobec żydowskiej tragedii. Wpływ na to miał oczywiście niemiecki terror. „Nie brakowało" jednak, jak to określił, *szui, ludzi pozbawionych sumienia, którzy ostentacyjnie wyrażali aprobatę dla postępowania Niemców. Byli i tacy* – dodaje Guz – *którzy czynnie brali udział w zbrodniach.*

Można wyróżnić dwie zasadnicze fazy pomocy, tj. pierwszą – w czasie trwania akcji likwidacyjnej i tuż po niej oraz drugą – w kolejnych latach okupacji niemieckiej. Cechą pomocy niesionej w momencie pierwszego zagrożenia, jakimi stały się akcje wymordowywania ludności w lecie 1942 r. była przede wszystkim spontaniczność. Od końca 1942 r., czyli po likwidacji większości gett, pojawiły się już organizacje, których zadanie koncentrowało się na niesieniu Żydom pomocy, np. Rada Pomocy Żydom „Żegota". Formy te nigdy jednak nie przybrały szerokiego zasięgu. W nielicznych z żydowskich relacji z Mińska odnotowano fakt jej działalności. Nie oznacza to, że jej członkowie nie byli na tym terenie aktywni, lecz należy podkreślić, że pomoc Żegoty nie jest doświadczeniem masowym mińskich Żydów. Przeważały tu raczej niezorganizowane akty pomocy.

W działania Żegoty zaangażowana była miejscowa inteligencja, np. dr Olgierd Mackiewicz, członek Armii Krajowej. Dzięki jego pomocy np. żona L. Guza, Alicja, pracująca jako żydowski robotnik w fabryce Rudzkiego, mogła urodzić dziecko pod okiem akuszerki. Z wspomnianym lekarzem współpracowała bowiem Zofia Sienkiewicz, właścicielka mińskiego zakładu położniczego pod wezwaniem św. Zofii. Zakład ten w czasie wojny znajdował się przy ul. Piłsudskiego 52. Być może w siatce tej działał także ówczesny proboszcz mińskiej parafii, ks. Józef Osiński. Wystawił on np. Gucie Tyrangiel fałszywą metrykę chrztu.

Wiele ocalonych istnień na swoim koncie ma także siatka kierowana przez Juliana Grobelnego. Funkcjonowała ona w Cegłowie, gdzie małżeństwo Grobelnych mieszkało i prowadziło gospodarstwo. J. Grobelny pełnił wysoką funkcję w strukturze Żegoty – w latach 1943-1944 był jej przewodniczącym, do czasu gdy został aresztowany. Współpracował z Ireną Sendlerową, szczególnie w dziele pomocy żydowskim dzieciom. Wiele z uratowanych przez nich dzieci, głównie z pobliskich wsi i małych miasteczek, znalazło schronienie w zakładzie opiekuńczym w Ignacowie, prowadzonym przez siostry miłosierdzia św. Wincentego a'Paulo.

Wybijająca się osobą był także kolonista niemiecki nazwiskiem Hert. Przed wojną pracował w Mińsku jako rejent. Choć po jej wybuchu zgodził się na podpisanie volkslisty, to nie pogodził się z nazistowska polityką, angażując się w pomoc Żydom. Miał ich pod opieką aż 47, którymi, dojeżdżając z Mińska opiekował się w Warszawie. Przewiózł do stolicy m.in.

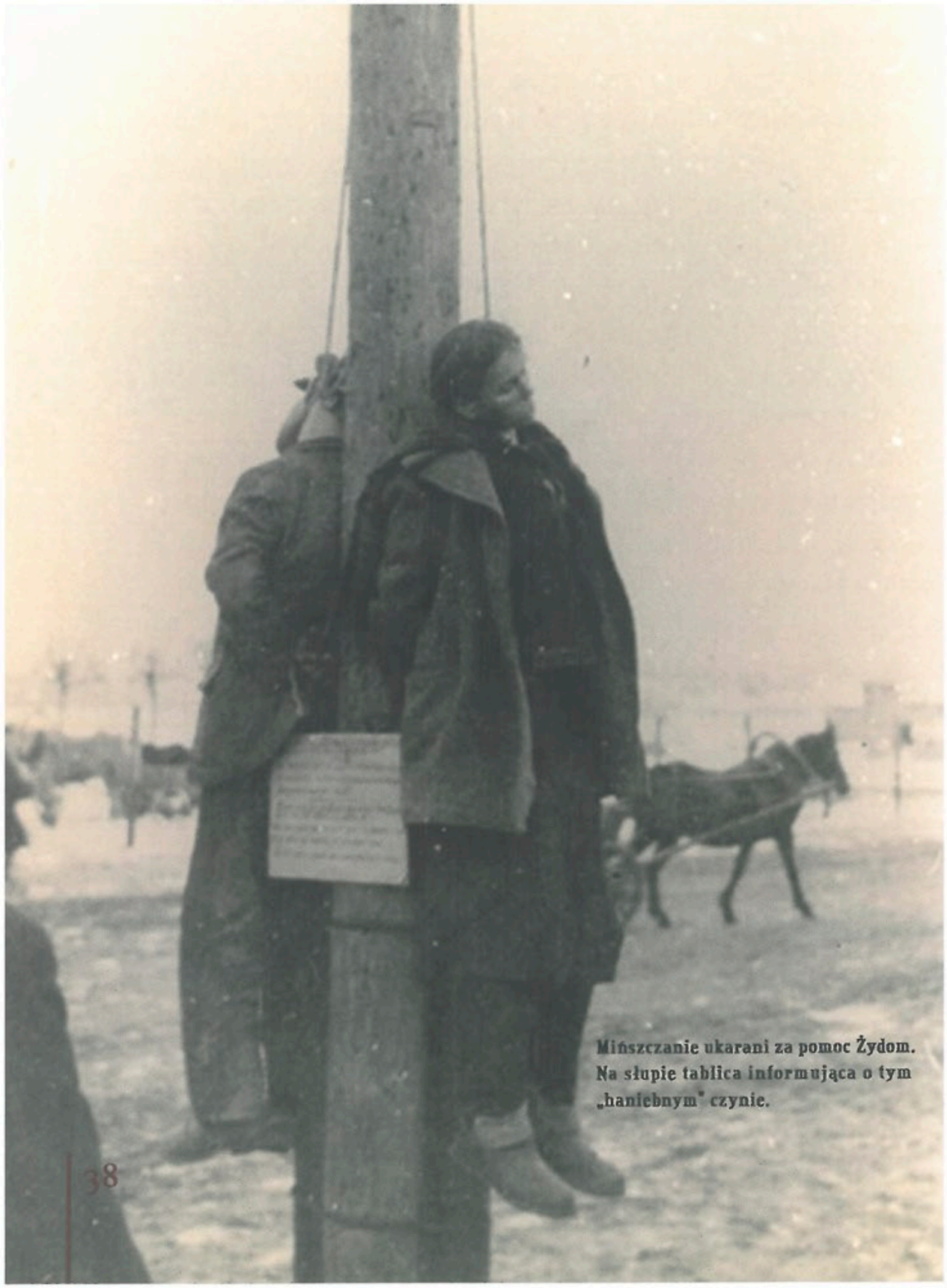

Mińszczanie ukarani za pomoc Żydom. Na słupie tablica informująca o tym „haniebnym" czynie.

rodzinę Rozenblumów, braci Mikanowskich, Ch. Kirszenbauma, Dinę Tetenbaum, dostarczając im następnie żywność. Wyłożył również własne pieniądze, które z rąk gestapo uratowały jedną z sióstr Berger, oddanych na przechowanie Apolonii Chmielewskiej przez ojca dziewczynek, Zyskinda Bergera. Wykupił także z rąk gestapo Bronisławę Jaszczuk za sumę 300 dolarów, która wraz z mężem przechowywała Gutę Tyrangiel. W „siatce" Herta byli prawie wszyscy, którzy podjęli heroiczny czyn długotrwałego przechowywania Żydów, ratując ich tym samym od śmierci. Niektórzy przypłacili to życiem. W 1944 r. zginął np. zadenuncjowany przez sąsiadów, zamieszkały w Mińsku Marian Woźniak.

Po drugiej stronie, wobec faktu totalnej fizycznej likwidacji społeczności żydowskiej, znaleźli się ci Polacy, którzy zajmowali się denuncjowaniem lub wręcz jej mordowaniem. Najbardziej drastycznym przypadkiem, który pamiętali jeszcze po wojnie sami Polacy była denuncjacja rodziny Trojnów przez mińszczanina nazwiskiem Chomka. Przed wojną obie rodziny – Trojnów i Chomków – żyły w zgodzie, razem robiąc interesy. W czasie akcji likwidacyjnej Trojnowie schowali się u sąsiadów. Niestety nie na długo. Wykorzystując nadarzającą się okazję, Chomkowie okradli ich, sprowadzili następnie Niemców, którzy na dziedzińcu rozstrzelali małżeństwo Trojnów wraz z najmłodszą córką.

Wybitnie niechlubne poczynania stały się także udziałem tzw. granatowych policjantów: Władysława Bordowicza, Czesława

Czajkowskiego, Stanisława Szeweluka, Wacława Wójcika i najbrutalniejszego z nich, Antoniego Gałązki.

Niewątpliwie zarówno chlubne, jak i wstydliwe przypadki zasługują na szerszy opis...

Julian Grobelny – prezes „Żegoty". Spoczywa na mińskim cmentarzu.

Mińsk w 1944 r.

Ciąg dalszy nastąpił...

MIASTO BEZ ŻYDÓW – pierwsze wrażenia

Zakończenie II wojny światowej dla ocalałej ludności żydowskiej stało się powodem do wielkiej radości, przemieszanej jednak z ogromną dozą goryczy. Tuż po odejściu wojsk niemieckich, na ulicach polskich miast poziom bezpieczeństwa był nadal niski. Królowała anarchia, a wokół unosiła się atmosfera sprzyjająca wszelkim rozliczeniom. W kraju stacjonowały wojska Armii Czerwonej. Ch. Kirszenbaum wspomina: *Koniec wojny nazwano wyzwoleniem. Czy myśmy zostali wyzwoleni? (...). Staliśmy się zawalidrogami. Pozornie wydawałoby się, że dano nam możliwość odprężenia, wyjścia na ulicę, uświadomienia sobie, że możemy przestać się bać szwabów. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Znów omyliliśmy się. Ta niby wolność zaczęła się od walk bratobójczych. Walczyły ze sobą o władzę różne ugrupowania polityczne. Konkurowali w liczbach, w akcjach, w mordach. Jak zwykle my Żydzi w środku, niepytani o nic, ale w środku. Znów pogromy, znów zabijanie Żydów tylko dlatego, że są Żydami.*

W tle walk politycznych następowały duże zmiany społeczne. Na wielką skalę odbywała się migracja ludności ze wsi do miast, co wpływało także na daleko idące przeobrażenia struktury gospodarczej ośrodków miejskich. Liczba mieszkańców Mińska spadła z 17 tys. do 9 tys. Żydowskim ocaleńcom trudno było odnaleźć się w tych nowych realiach, zwłaszcza że Polacy z reguły nie witali z otwartymi ramionami powracających z kryjówek do własnych domów Żydów. Poza tym, nie były to już żydowskie domy, lecz polskie. Inni patrzyli na Żydów niechętnie nie tylko w obawie o utratę nowo nabytego „pożydowskie go" mienia, lecz także z przyczyn politycznych. Przedwojenny przyjaciel Kirszenbauma, Karol Brudkowski, po powrocie w 1944 r. swego żydowskiego kolegi do Mińska wyposażył go w pistolet. Kirszenbaum zapisał w pamięci jego słowa: *Słuchaj, powiedział, nie wiesz, kto cię jeszcze tu przywita. Nie licz na uśmiechy i na pomoc. Ludzie będą się bali Żydów, tak samo jak Rosjan. Przede wszystkim będą się bali współpracy Żydów z Rosjanami. Ostrzegał mnie także przed wieloma ludźmi, o których myślałem, że są przyzwoici.*

We wrześniu 1944 r. na krótki okres władze w mieście przejęła Armia Krajowa. Następnie weszły wojska rosyjskie. Już 17 września na terenie Mińska z kryjówek wyszła grupa kilkunastu Żydów. Ukrywali się oni w różnych warunkach, niektórzy byli bardzo schorowani. Ludzi tych umieszczono w sali dawnej restauracji Szefera na ul. Piłsudskiego. Prócz wydzielonego miejsca nie otrzymywali oni od władz żadnej pomocy. Część miała myśli samobójcze. Aby zarobić na chleb, jeździli do Lublina, sprowadzając stamtąd chodliwy wówczas towar - drożdże. Inni zbliżyli się do żydowskich żołnierzy służących w Armii Czerwonej. Czuli się upodleni i osamotnieni w cierpieniu. Dodatkowo sytuację pogarszał fakt, że Niemcy z Pruszkowa ostrzeliwali miasto z dział nazwanymi „bertami". Przygnębiona żydowska garstka, w przeciwieństwie do reszty mieszkańców, nie chowała się jednak do piwnic i schronów. *Ludzie po takich przeżyciach, chorzy, głodni i bez dachu nad głową, nie wiele mają sił do walki. Siedzą, płaczą, wzdychają i klną. Nie łatwo nawet*

z takimi rozmawiać. Są niby wolni, ale nie ma chleba i nie ma z kim mówić – po latach relacjonował tamten czas Kirszenbaum.

Niektórzy na odwrót opowiadali swoje losy. Była to forma terapii. Historie te przerażały, a Polacy nie wypadali w nich dobrze. Elie Trojna miał do opowiedzenia taką historię: *Mój ojciec, Josef Trojna, przez długie lata był przewodniczącym gminy żydowskiej. Pamiętam, że bardzo często przychodzili do niego Żydzi ze swoimi problemami, pytając o radę. Ojciec każdego przyjmował z dobrym słowem i uśmiechem. Pomagał, jak tylko mógł. Dzięki mądrości rozwiązywał wiele problemów.*

Pamiętam, jak raz moja starsza siostra Pola przyszła do domu, oświadczając, że zaręczyła się z Szmulem Meretikiem i przygotowuje się z nim do ślubu. Wkrótce stało się jasne, że pojawił się problem: zważywszy na to, że oboje mają lewicowe przekonania i podejmują działalność w lewicowym ruchu, nie zamierzają brać ślubu z udziałem rabina. Dla moich rodziców był to szok, mimo że ojciec w młodych latach był również nastawiony lewicowo. Ojciec usilnie jednak prosił siostrę, aby wyszła za mąż przed rabinem, ponieważ w przeciwnym razie byłby to wstyd dla rodziny. Po długich dyskusjach siostra w końcu porozumiała się z rodzicami. Zaproponowała im, aby ślub odbył się w Warszawie. Do dzisiaj mam przed oczami rozpromienione twarze rodziców, gdy przygotowywali się do wyjazdu do stolicy. Pamiętam ślub mojej siostry ze Szmulem Meretikiem.

Prawie wszyscy Trojnowie mieli lewicowe przekonania, ale ja z moim młodszym bratem byliśmy rewizjonistami. Nawiasem mówiąc mój brat został zamordowany w Rosji za handel nielegalnym chlebem. Wszyscy moi koledzy byli lewicowi. Zawsze prowadziliśmy gorące dyskusje, ale nigdy nie doprowadzały one do waśni i kłótni.

Pierwszym aresztowanym w Mińsku z powodów politycznych był mój kuzyn Elie Mozes. Jeśli się nie mylę, wysłano go do Berezy Kartuskiej. Na procesie, który prowadzono przeciwko niemu za działalność komunistyczną bronił go sławny w tamtym czasie adwokat dr Etinger. Pamiętam, jak dr Etinger podszedł do ojca, konsultując się z nim, jak poprowadzić linię obrony na procesie. Konsultował się z moim ojcem, bo choć Josef Trojna nie miał wykształcenia uniwersyteckiego, lecz za to posiadał bardzo dobrą orientację w prawie i rozeznanie w tych sprawach.

Pamiętam moją ukochaną mamę, Małkę, zawsze zmęczoną w domu przy dzieciach. Pomagała też w piekarni, kiedy ojciec stale angażował się w pracę społeczną w gminie. Pamiętam na przykład jak znikał z domu, gdy trzeba było przyjąć nowego rabina. Wojna między poszczególnymi stronami konfliktu toczyła się dopóki ojciec nie wygrał i nie wprowadził swojego kandydata. Mama musiała również reprezentować go w piekarni. Chociaż nie było jej łatwo, nigdy się nie skarżyła. Oprócz tego, cały czas przyprowadzałem do domu moich kolegów. Przewijało się tam wiele osób często bez pracy, z których wielu w swoich domach nie najadało się do syta. Mama za każdym razem przygotowywała dla nich jedzenie. Pamiętam, jak raz aresztowano biednego chłopca, którego imienia nie pamiętam. Przyszła wtedy moja siostra Pola i powiedziała, że mogą go uwolnić za kaucją, ale nie ma na to pieniędzy. Moja mama bez słowa podarowała siostrze srebrną zastawę, żeby dała ją pod zastaw, a pieniądze z niej przeznaczyła

na uwolnieniemłodego chłopca.

Kiedy wybuchła wojna i Niemcy pojawili się w mieście mój ojciec wziął wspólnika do swojej piekarni. Był to Polak nazwiskiem Chamka, do którego miał pełne zaufanie. Kiedy zaczęła się likwidacja getta, ojciec wszystko przekazał Polakowi, żeby wziął naszą rodzinę na przechowanie. Tydzień później Chamka wezwał gestapo i w jego obecności zamordowano w ogrodzie mojego ojca, matkę i najmłodszą siostrę Hindełe. Moją siostrę Polę z mężem Szmulikiem Meretkiem torturowano w Warszawie na Pawiaku. Ich córeczkę, Majkę, moi rodzice oddali zaprzyjaźnionemu Polakowi, dając mu dużo pieniędzy, aby przechował ją u siebie. Zrobił jednak to, co wielu bliskich nam Polaków robiło: wezwał gestapo, które wykonało wyrok śmierci na dziecku.

W 1944 r. opowiadano sobie takich historii wiele, zamykając wiele istnień w gorzkiej i tragicznej pigułce wspomnień, które nie nadawały się tak naprawdę do opowiedzenia. Nie można się zatem dziwić, że część Żydów wśród Polaków nie czuła się wcale bezpiecznie. Pewnym rozwiązaniem dla Żydów było zaangażowanie w działania Polskiej Partii Robotniczej (PPR). Partia dawała wówczas minimalne poczucie stabilności. Powiatowy komitet PPR w Mińsku organizował wtedy Stanisław Dąbrowski, przedwojenny komunista. Aktywność w partii nie była jednak usłana różami. Wedle licznych żydowskich świadectw z Mińska, niepodległościowe podziemie strzelało do członków PPR „jak do kaczek", dostrzegając w ludziach tych wrogów państwa polskiego. Żydokomuna było słowem, którym Polacy posługiwali się na określenie stanu politycznego kraju. To zniechęcało Żydów do angażowania się w „nową socjalistyczną" Polskę. Jeszcze intensywniej likwidowano milicjantów i członków formacji Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). W mińskiej milicji pracę podjęli czterej byli bojownicy warszawskiego getta. Po zabiciu przez Rosjan ośmiu Polaków, w tym burmistrza Hipolita Konopkę, kazano im rozpocząć aresztowania członków AK. Żydzi ci w obawie o swoje życie, nie wykonali rozkazu, domyślając się, że jest to prowokacja UB, która ma dać pretekst tym służbom do likwidacji „elementów wrogich socjalistycznemu państwu" i uciekli. Od tego czasu rozstrzygające w sprawach politycznych NKWD rozpoczęło intensywniejsze aresztowania członków mińskiego podziemia niepodległościowego. Zaczęły się śledztwa i zsyłki na Sybir. Mimo że *wszystkie śledztwa i aresztowania były zależne od doradców radzieckich, w społeczeństwie mówiło się, że to wszystko robią Żydzi, których tam w ogóle nie było* – odtwarzał tamtą atmosferę Kirszenbaum. Ze strachu, z braku perspektyw ostatni mińscy Żydzi wyjeżdżali więc do Warszawy, gdzie czuli się bezpieczniej.

Roma Byczuk.

TU JEST MÓJ DOM – Roma Ruczuk i Władysław Lewartowsk

W Mińsku na przysłowiowych palcach jednej ręki można policzyć osoby, które mimo okropieństw wojny zdecydowały się pozostać w rodzinnym mieście i jednocześnie nie ukrywały że są Żydami. Jedną z nich była Roma Byczuk (z d. Holcband), która wraz z matką i siostrą na powrót zamieszkały w swoim domu przy ul. Mostowej. Prawie stuletnia kamieniczka stoi do dzisiaj, lecz nie jest już zamieszkana - kilka lat temu wybuchł tam pożar, który spowodował daleko idące zniszczenia. Nie ma też już z nami znanej wszystkim mińszczanom Romy Byczuk, nazwanej „ostatnią mińską Żydówką".

Dlaczego rodzina Holcbandów wróciła na „stare śmiecie"? Chyba dlatego, że ocaleni Holcbandowie nie wyobrażali sobie innego rozwiązania. Kochali miejsce, w którym przeżyli tyle lat. Może wpływ na taką decyzje miał fakt, że żadna z tych kobiet nie była obecna w mieście podczas zagłady getta, nie zobaczyła umierającego miasta? *W przeciwnym razie może porzuciłyby dom i wyjechały* - spekuluje wnuczek pani Romy, Roman, i dodaje: *Ale tajemnica tkwi chyba w tym, że matka czuła się mentalnie związana ze zmarłym ojcem. Był dla niej Bogiem, bardzo go kochała. Połączyła się z nim jakąś niewidzialną liną, której nie chciała nigdy odciąć. Na przeprowadzkę nalegał tylko mój ojciec.*

Sama R. Byczuk wspominała: *Jak mi się tylko polepszyło, zaczęłam szaleć, że muszę do Mińska. (...) Byłam dorosłą 25-letnią kobietą. Wracałam do domu. Wszyscy byli. Mama, Berta, Janek i już z wielką energią uruchamiali hurtownię. Ocalili resztki secesyjnych mebli, doprowadzili dom do użytku. Wszyscy pracowaliśmy, jak w gorączce, żeby przywrócić choć namiastkę naszego dawnego życia. Ale w domu była cisza. Pianino zamknięte, w kątach smutek, nasze powierzchowne, uprzejme uśmiechy i niekontrolowane wybuchy płaczu. Nikt nie potrafił nam wskazać grobu taty.*

Dalsze losy R. Byczuk ułożyły się szczęśliwie: wyszła za mąż za Polaka, urodziła dwoje dzieci - Romana i Grażynę. W jednym z wywiadów powiedziała: *Jaka ze mnie teraz jest Żydówka, skoro najbliższe mi istoty, moje dzieci, nie są Żydami.* Faktycznie w głębokim PRL wychowywała swoje dzieci po katolicku, nie obchodzili żydowskich świąt, w domu nie było symboli związanych z religią judaistyczną. Sama Roma czuła się Polką i nie chciała uczyć się jidysz. Jej dzieci chodziły na lekcje religii. Nikt nie robił z tego powodu nikomu przykrości. Panią Romę powszechnie lubiano, wielu pomagała i wzbudzała szacunek nawet swoim wyglądem: *Była elegantką, pamiętam, że pierwsza w Mińsku pojawiła się na ulicy w ortalionowym płaszczu, nosiła kapelusze. Była po prostu prawdziwą damą* - wspomina Hanna Żelazowska.

Mimo to, matka pomyliła się, co do swoich dzieci. Żydowskość siedziała także w niej samej, schowana głęboko w trudnych czasach PRL, tak samo jak w dzieciach. Zarówno syn, jak i córka czują się Żydami, o czym zaświadcza ich działalność. Pani Grażyna jako wiceprezes Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Warszawie, od wielu lat organizuje uroczystości związane z obchodami likwidacji mińskiego getta, w czym pomaga jej brat. Wyjaśnia on: *Ciągnie mnie do Mińska i naprawdę nie potrafię*

wyjaśnić dlaczego. Po prostu tak jest, że muszę tu przyjeżdżać. Mam tu koleżanki i kolegów z młodych lat. Jak tu jestem, powracam do okresu młodości. Dla mnie ten Mińsk jest najważniejszy. Przykrych sytuacji tylko dlatego, że jestem Żydem nigdy tu nie zaznałem i to jest dla mnie ważne. Ciągnie mnie tu chyba zupełnie, jak matkę... (śmiech).

Oprócz R. Byczuk w pamięć mińszczan wbiła się również postać szklarza Szaje Tajbluma. Po wojnie zamieszkał on naprzeciwko kamienicy Holcbandów, w dawnym domu Gliksberga. Pan Tajblum słynął z wesołości i rubasznego humoru. Świetnie opowiadał szmoncesy. *Jeśli miało się zły humor, wystarczyło zajść do Tajbluma i nastrój musiał się zmienić* - wspomina Andrzej Żelazowski.

Inną ważną postacią, która miała żydowskie pochodzenie i postanowiła zamieszkać w Mińsku był niepochodzący z naszego miasta Władysław Lewartowski - dyrektor liceum im. Juliana Marchlewskiego, a obecnie im. Polskiej Macierzy Szkolnej. Urodził się w 1923 r. w Korcu (Rosja) jako syn Marka i Racheli. W 1939 r. ukończył gimnazjum w Równem i w tym samym roku podjął studia w Instytucie Nauczycielstwa w tym mieście na wydziale fizyczno-matematycznym. Po napaści III Rzeszy na ZSRR został ewakuowany w głąb kraju, gdzie pracował jako nauczyciel m.in. we wsi Karaczaganak. W 1943 r. wstąpił do Armii Polskiej walczącej u boku Armii Czerwonej i dosłużył się w niej stopnia oficerskiego. Dwa lata później na własną prośbę został zdemobilizowany i powrócił do zawodu nauczycielskiego.

W 1949 r. został dyrektorem mińskiego liceum. Mimo, iż był zdecydowanym ideowym komunistą i nie wszyscy zgadzali się z jego poglądami, jako dyrektor zaskarbił sobie szacunek i uznanie uczniów oraz rodziców. Elżbieta Janke, wieloletnia zasłużona nauczycielka tego liceum ocenia: *To był tak zwany porządny komunista.* Szkoła była „oczkiem" w jego głowie, dzięki czemu reprezentowała w tamtych politycznych warunkach wysoki poziom. Można powiedzieć, że dyrektor ten zbudował renomę tej szkoły, która trwała nieprzerwanie do lat 90. Liceum dało doskonały start wielu pokoleniom świeżo upieczonych maturzystów, pretendujących do studiów wyższych na Uniwersytecie Warszawskim, warszawskiej Akademii Medycznej oraz innych prestiżowych uczelni. Miński ogólniak w środowisku warszawskich profesorów miał rozpoznawalną markę.

To pasmo sukcesów zostało przerwane w 1967 r., gdy wybuchła Wojna Sześciodniowa w Izraelu. Stała się ona dla władz komunistycznych pretekstem do antysemickiej czystki w łonie partii. Dotknęła ona także Żydów w małych miastach, szczególnie zajmujących eksponowane stanowiska. Jej szczyt przypadł na lata 1968-1972, gdy Polskę opuściło ponad 15 tys. zaszczuwanych polskich Żydów.

Wydarzenia te intensywnie przeżywali zdeklarowani komuniści, m.in. W. Lewartowski. Z racji żydowskiego pochodzenia został w 1967 r. zdymisjonowany z kierowniczego stanowiska. Będąc przywiązanym do Mińska, ale także do Polski, nie zdecy-

Roma w getcie – ul. Bulwarna.

„Ostatnia mińska Żydówka" po wojnie.

dował się jednak na wyjazd do Izraela i przyjął posadę nauczyciela fizyki i matematyki w Technikum Budowlanym, pracując tam początkowo tylko na wydziale zaocznym. Jeden z jego licealnych uczniów, Andrzej Kołpak-Klewszczyński, wspomina: *To była postać nieprzeciętna, wyróżniał się. Choć bano się go, to jednocześnie darzono szacunkiem. Właściwie nie wiem, dlaczego pozostał do śmierci w Mińsku.* Andrzej Żelazowski, również jego uczeń dodaje: *W 1967 r. zaproszono go na rozmowę do wojskowej jednostki i zadano mu pytanie: Co sądzicie o Izraelu? Odpowiedz Lewartowskiego, który powiedział, że to małe państwo i potrzebuje trochę przestrzeni, stała się formalnym pretekstem do wyeliminowania go. Bardzo to przeżyłem. Faktem jest, że dopiero po kampanii antysemickiej zaczęto go gościć w tzw. lepszych mińskich domach, przyjmowano go tam, powiem nawet, entuzjastycznie. Lubił grać w brydża* - uzupełnia A. Kołpak-Klewszczyński.

Władysław Lewartowski.

Dom Kamińskich przy ul. Nadrzecznej – zawsze otwarty dla Żydów. Pierwsza od lewej, w drugim rzędzie Eugenia Żelazowska – mówiła w jidysz, zawsze kochała żydowskich sąsiadów.

Guta Tyrangiel w czasie pierwszej komunii.

MÓWI DZIECKO HOLOCAUSTU

Odrębną grupą, zasługująca na wyróżnienie, która przeżyła czas wojny były dzieci. Wśród ocalonych z Zagłady znalazła się Guta Tyrangiel oddana na przechowanie przez rodziców rodzinie Jaszczuków - Bronisławie i Józefowi. Oboje żydowskich rodziców - Ruchla i Moszek - zginęło. Matka została żywcem spalona w obozie „Kopernik", ojcu zaś udało się wydostać z obozu umiejscowionego w fabryce Rudzkiego, lecz przedostawszy się do warszawskiego getta, zginął podczas powstania 1943 r.

Matka Guty pochodziła z rozgałęzionej (około sto osób) i dobrze sytuowanej mińskiej rodziny Kormanów. Tyranglowie wzięli ślub tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. 26 października 1940 r. urodziła się im córka Guta. Następnego dnia Niemcy założyli mińskie getto... Półtora roku później na świat przyszła kolejna córka, którą Tyranglowie oddali na przechowanie do zaprzyjaźnionej polskiej rodziny, mieszkającej koło Koluszek, skąd pochodził Moszek.

Oddając córki pod opiekę wojennym opiekunom mieli nadzieję na szczęśliwy powrót, dlatego nie chcieli, aby ich dzieci do przybranych rodziców zwracały się per „mamo", „tato". Byli „ciocią" i „wujkiem".

Po wojnie wrócił tylko prawdziwy wujek Guty - Marek. Szukał młodszej siostrzenicy pod Koluszkami, lecz nie znalazł. Gutę chciał zabrać zaś w 1946 r., lecz wówczas, przeżywszy wojenną traumę, nie chciała być już Żydówką i została w Mińsku. Od tej chwili stała się Genowefą Filipiak.

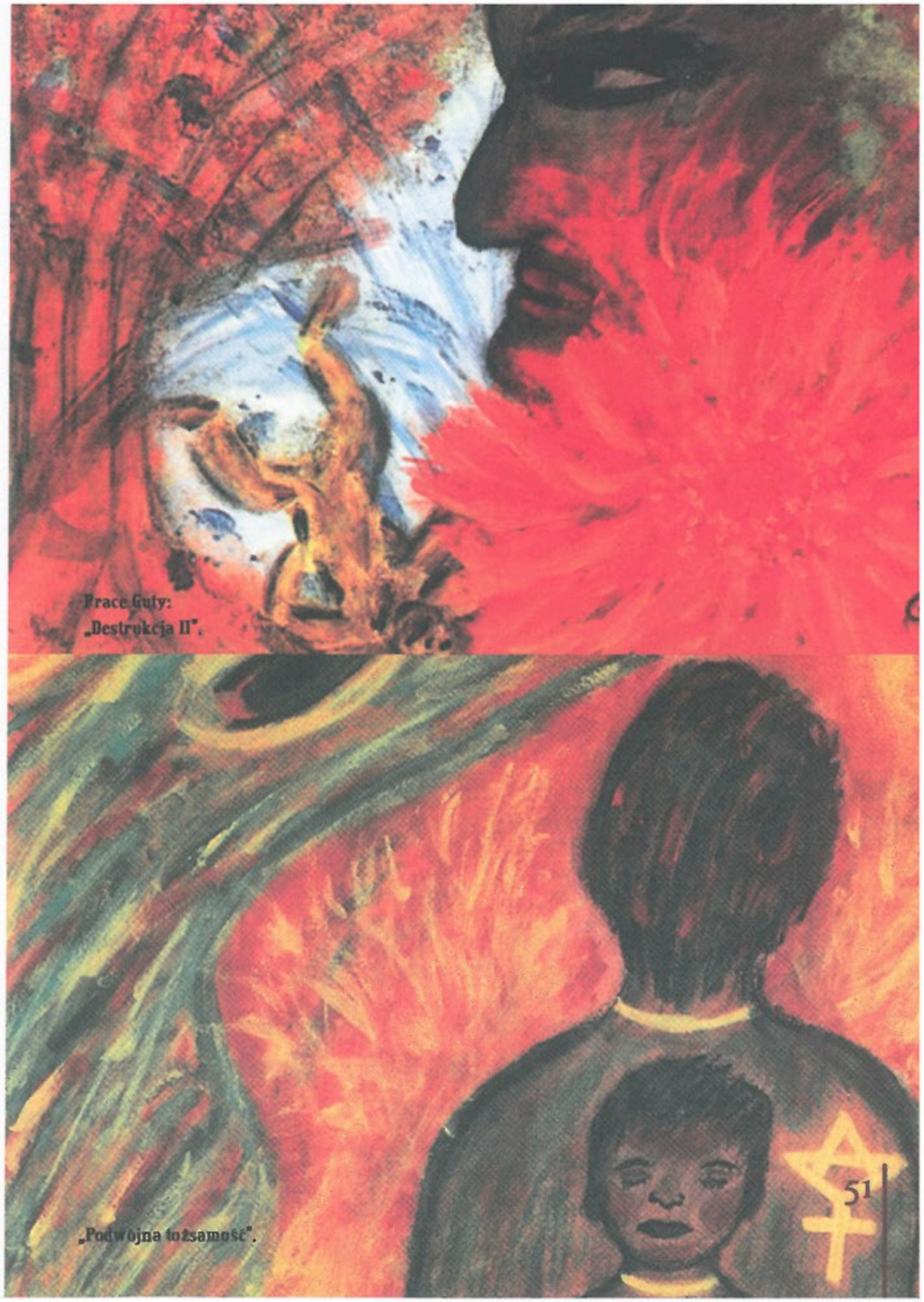

Prace Guty:
„Destrukcja II".

„Podwójna tożsamość".

Guta Tyrangiel należy do Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu". Wyjechała z Polski. Jaka jest jej historia? Kim jest? Kim była? Oddajmy głos samej zainteresowanej.

Ciotkę wzięli do więzienia, ale przekupiono Niemców i wyszła na wolność. Dalej było jednak niebezpiecznie. Przez ostatnie dwa lata wojny ukrywałam się (...). Wujek mnie uwielbiał. Bardzo, bardzo mnie kochał, rozpieszczał... Stosunek „cioci" do mnie był trochę inny.

Po tym jak się ukrywałam, miałam strach przed Żydami, nie chciałam być Żydówką. (...) Być Żydem to było piekło, coś potwornego, naznaczenie piętnem... - Być Żydem - śmierć strach, groza, głód, wszy i choroby; uciekanie i chowanie się w piwnicach, szafach; nieufność i strach przed obcymi.

Nawet, kiedy prowadzano mnie do kościoła wiedziałam, że jestem pokazywana palcem, dlatego wierząca katoliczką nie mogłam być. Nie ochrzczono mnie, ale miałam metrykę chrztu, uważano ją za prawdziwą i poszłam do pierwszej komunii. Teraz jestem ateistką.

Stał jeszcze po wojnie dom dziadka w Mińsku, wiedziałam o nim, ale unikałam śladów przeszłości i ludzi, którzy znali moich rodziców. Powrót do pamięci był za trudny. (...) Koncentrowałam się na tym, czym żyją dzieci: taniec, piosenka, sport, moda...

Przebywałam latami wśród ludzi, do których nie należałam. W Polsce byłam „dzieckiem żydowskim" Byłam sierotą i uratowaną dziewczynką. Byłam inna i się do tego dostosowałam. (...) Inność, a może obcość wewnętrzną - odczuwałam nawet wobec koleżanek, z którymi się przyjaźniłam - pochodziła ona z mojej tragedii, z wytykanego żydostwa, przejścia z innego świata.

Być kameleonem to znaczy ciągle się dostosowywać do sytuacji. Maksymalny wysiłek, aby się nie różnić od innych. Zachowując wewnętrzną odrębność przez długie lata, miałam potrzebę być tą najlepszą w środowisku, w którym żyłam.

Nie opuściłam Polski z żadną grupą, nie wyjechałam na zachód, gdy wyrzucano lub przyjmowano. Nie należałam do żadnej grupy. (...) Nie czuję się ofiarą losu, na pewno nie, jestem raczej wybranką losu, czuję obowiązek w stosunku do mego narodu, był on tak piętnowany i tyle cierpiał; bywał w oczach innych najlepszy i najgorszy. Ocalałam, przeżyłam.

Inne doświadczenia w związku z tożsamością narodową i religijną miały siostry Berger – Danuta i Barbara, córki Zyskinda Bergera. Na przechowanie przyjęła je Apolonia Chmielewska, właścicielka zakładu pogrzebowego, który znajdował się w Rynku. Dziewczynki od początku traktowały przybraną opiekunkę jak matkę. Miłość została odwzajemniona. Przybrane córki zwracały się do swojej opiekunki per „Polunia". W rodzinie tej była miłość, zrozumienie i oddanie. Siostry wyjechały z Polski w latach 80. dopiero jednak po śmierci wojennej matki. Do ostatniego momentu trzymały wiadomość tę w tajemnicy.

„Oczy rozpaczy".

MIŃSK 1963 – prace w zrujnowanym narodzie.

ul. Świerczewskiego
(przed II wojną - Piłsudskiego).

Lata sześćdziesiąte - sam środek Polski gomułkowskiej. Wówczas do Mińska przyjechała kilkuosobowa grupa Żydów z Paryża. Miasto żyło wtedy I Krajowym Festiwalem Piosenki Polskiej w Opolu, relacjonowanym w telewizji i radiu. Mniej liczni podniecali się wiadomością, że w Ursusie wyprodukowano 100-tysięczny ciągnik. Przechadzając się po ulicach naszego miasta, mogło wydawać się ono lepsze, piękniejsze i nowocześniejsze. Paryskich przybyszów nie interesowały jednak nasze dokonania, ani w sensie globalnym ani lokalnym. Pragnęli oni jedynie odbyć podróż sentymentalną do rodzinnego miasta - przypomnieć sobie młode lata, przechadzać się po mieście, odwiedzić drogie sercu miejsca, cmentarze. Widok, jaki zastali przeraził ich. Wrażenia ze zrujnowanego ogrodu, jakim jawił im się Mińsk, zanotował Melech Guberek. Oddajmy mu głos:

Kiedy wjechaliśmy do miasta bez Żydów, bez żadnego po nich śladu, bez śladu po naszych rodzinach, zaczęliśmy szukać choćby symboli przeszłości, tego wszystkiego, co nam było bliskie i drogie. Tylko murowane żydowskie domy były całe, ale w nich naturalnie zamieszkali Polacy. W domu Szoela Holcbanda, gdzie żyły jego wnuczki, znaleźliśmy dużo książek ze stemplami przedwojennej kieleckiej robotniczej biblioteki. Książki te zabraliśmy ze sobą do Paryża i przekazaliśmy paryskiej grupie żydowskich kielczan.

Przechadzaliśmy się po ulicach, chcąc sobie przypomnieć, co gdzie się znajdowało. Było to trudne do zniesienia. Otchłań, na Kolie-gas (ul. Piłsudskiego - przyp. A.G.), *gdzie stał parysowski sztibl wraz z mieszkaniem przeznaczonym dla rebe Mechele, zobaczyliśmy pusty plac. Dawniej ten ha-midrasz otaczał parkan, a teraz... rosły tam kartofle. Kto jest dziś właścicielem tego placu, w ogóle się nie orientuję... Na Rynku, gdzie znajdowała się siedziba gminy i bóżnica teraz jest skład węgla. Miejsca, gdzie unosiła się atmosfera świętości i nabożności zostały pogwałcone, zbeszczeszczone. Z Rynku idziemy na Rebe-gas* (ul. Nadrzeczna - przyp. A. G.) *- tu też natrafiamy na ruiny. Z cadykowej synagogi, zrobionej, przecież, z cegły, również żadne ślady nie pozostały. Cały obszar wokół przedstawiał zaorane pole. To samo stało się z rzędami domów na ulicy Siennickiej.*

Z zamętem i bólem w głowach skierowaliśmy się na cmentarz. A tam zobaczyliśmy jak wandale nie uszanowali żadnej rzeczy, która ma związek z żydowskością. Nawet zmarłych nie pozostawili w spokoju w ich grobach, a macewy zniszczyli. Co by tu dużo mówić, cały cmentarz został zamieniony w pastwisko dla trzody domowej - krów i świń. Z wielkim bólem na to patrzyliśmy i, stojąc tam na miejscu, zdecydowaliśmy, że dalej tak być nie może.

Po konsultacjach z radą miejską nasza delegacja postanowiła, że miejsce cmentarza należy przywrócić do porządku, podnieść zniszczone macewy i ufundować pomnik. Jasno deklarowaliśmy, że chcemy pokryć wszystkie koszty związane z tymi planami. Rada miejska była wnioskodawcą w imieniu zarządu Komitetu Żydów w Polsce z siedzibą w Warszawie. Podjęła ona współpracę z naszym krajanem J. Kirszenbaumem, który już wtedy mieszkał w stolicy. Wziął on na siebie obowiązek koordynatora projektu, pilnując, aby prace szły w pożądanym kierunku.

W Mińsku istniały dwa żydowskie cmentarze.

W niedalekiej odległości od cmentarza znajdował się grób Żydów zastrzelonych w czasie wojny. W ramach podjętych prac ten masowy grób został ekshumowany. Odmówiono kadisz...

Podczas prowadzenia tych prac, aby uzbierać pieniądze na postawienie pomnika, zawiązała się żydowska reprezentacja składająca się z przedstawiciela Żydowskiego Komitetu w Polsce i członka naszego Ziomkostwa - Mosze Bornsztejna. Nasze stowarzyszenie przekazało brakujące pieniądze na powyższy cel. Darowizny płynęły też od naszych krajan z Ameryki, Izraela, Argentyny i Kanady.

W okresie PRL niszczono kirkuty.

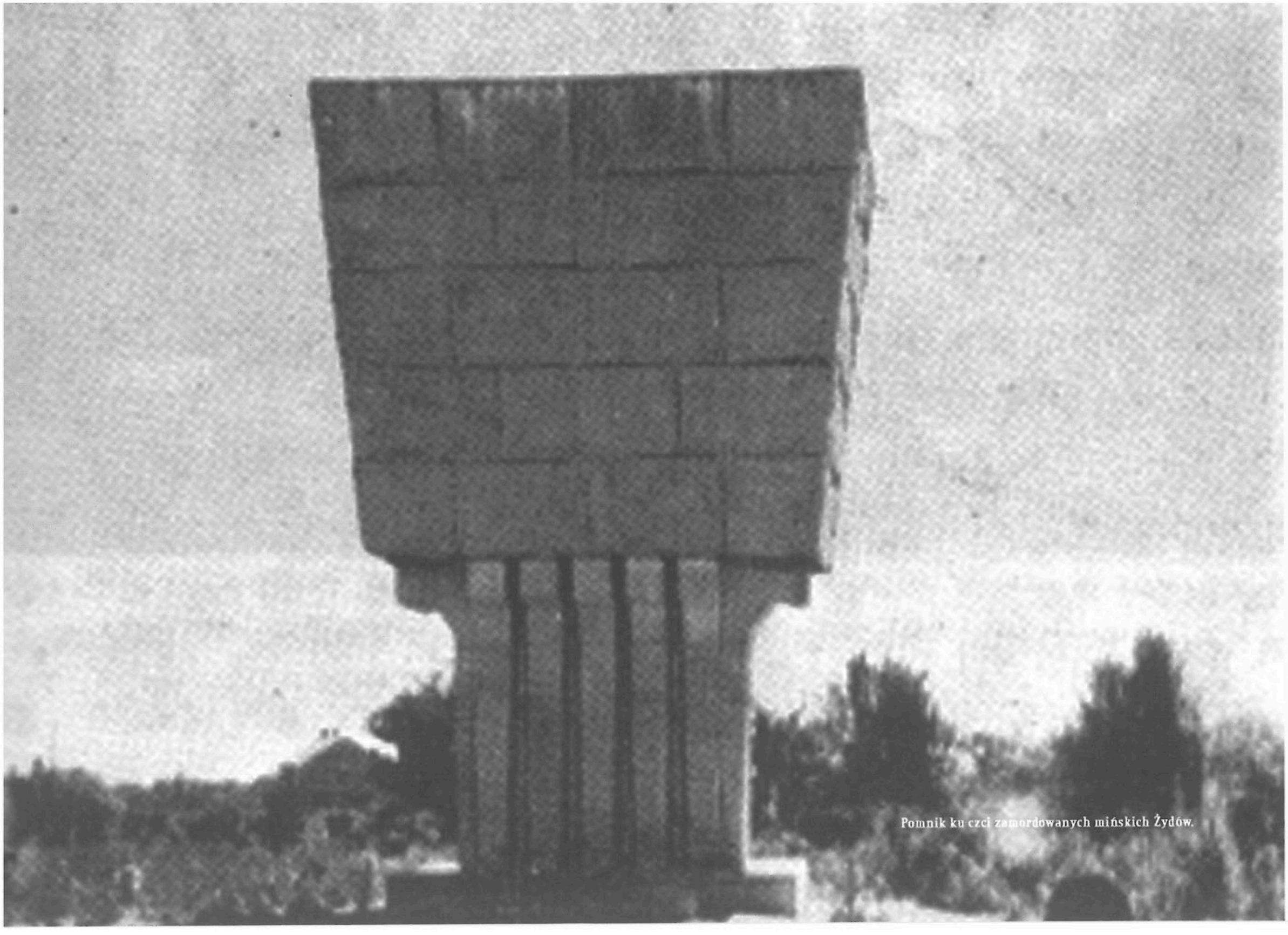

Pomnik ku czci zamordowanych mińskich Żydów.

W okresie II RP kierunki emigracji Żydów z Polski, oprócz Palestyny, prowadziły także do Francji. Jak wspomina Lejb Grynberg, minskerzy w Paryżu mieszkali już w latach 20. W 1927 r. zorganizowali się w stowarzyszenie, noszące w jidysz nazwę Frejnd fun Minsk-Mazowieck un fun der umgegnt (Przyjaciele Mińska Mazowieckiego i okolic) Aktywnie działali w nim: Icze Brones, Maks Oszlak, A. Szternfeld, Finkielsztajn, Kocki, Hochberg, Josl Stawkowski, A. Rozen (prezes), Korzuch, A. Rozenberg i Pinie Akerman[2]. Łącznie liczba członków wynosiła 85 osób. Osoby te pomagały finansowo rodzinom pozostałym w Mińsku. Masowo zaś wsparli miasto podczas pogromu 1936 r., przekazując poszkodowanym żydowskim mieszkańcom 40 tys. franków w złocie. Ziomkostwo musiało również sprostać organizacji życia nowym 123 emigrantom, którzy po 1936 r. wyjechali do Paryża.

Po wybuchu wojny francuski rząd Vichy wydał zgodę na „deportowanie" ludności żydowskiej do obozów zagłady. Wśród 3 tys. paryskich Żydów znaleźli się również dawni mieszkańcy Mińska. Trafili oni do Auschwitz. Po akcji likwidacyjnej warszawskiego getta Niemcy sprowadzili z tego obozu do odgruzowywania getta więźniów. Los sprawił, że znalazła się wśród nich duża liczebnie mińska grupa. Niemcom chodziło o znalezienie ewentualnych bunkrów z ukrytymi Żydami lub dobrami materialnymi. Do pracy tej dobrali właśnie polskich Żydów, żeby pod przymusem, za pomocą podstępu wywoływali oni z kryjówek resztki powstańców. Część z nich zginęła rozstrzelana, a reszta po wojnie wróciła do Paryża.

Po zakończeniu działań wojennych od razu rozpoczęło się odbudowywanie ziomkostwa w Paryżu. Powstała kasa oszczędnościowa, która szybko została zapełniona sumą 300 tys. franków. Upamiętniono również dwóch wyróżniających się minskerów - Jankiela Mińskiego i Abrahama Trzebuckiego. W dziele dbania o pamięć zamordowanych wydano również wspomnienia w jidysz Lejba Rochmana pt. *Un in dejn blut zolstu lebn* (W twoich żyłach płynie krew) i wspierano prace redakcyjne izraelskiej *Księgi Pamięci Żydów Mińska Mazowieckiego.*

Największym przedsięwzięciem Ziomkostwa było ufundowanie pomnika na żydowskim cmentarzu w Mińsku. W tym celu do Polski przyjechała delegacja z Paryża, która poprosiła wpływowego wówczas Kirszenbauma o „załatwienie" formalności. Przygotował on projekt, wybrał wykonawcę. Podczas rozmów ustalono, że pomnik musi posiadać solidną konstrukcję, gdyż obawiano się jego zniszczenia: *Postanowiliśmy go zrobić jako bryłę betonową z nakładką kamienną o grubości 20 cm.*

Termin odsłonięcia ustalono na 21 sierpnia 1967 r. - w 15. rocznicę zagłady żydowskich mieszkańców naszego miasta. O godzinie 16.00 pod pomnikiem zebrały się miejscowe władze, dzieci ze szkół, robotnicy z fabryk i członkowie ziomkostwa z Paryża. *Setki mińszczan przyszło, żeby uczcić pamięć wymordowanych. Na chwilę przed odsłonięciem pomnika zrobiło się bardzo ciemno i spadł obfity deszcz. Zmusiło to ludzi do opuszczenia terenu cmentarza. Uroczystość została skrócona do 10 minut. W kilka*

[2] Autor wspomnień ze względu na luki w pamięci czasami podaje tylko inicjał imienia lub samo nazwisko.

Cmentarz w latach 60.

tminut po jej skończeniu znów zaświeciło słońce. To tak jakby deszcz chciał płakać razem z obecnymi rozbitkami, którzy zostali po tej strasznej wojnie.

Żydzi z Francji zaprosili wszystkich oficjalnych gości do restauracji na suty posiłek i poczęstowali ekstra koniakiem, przywiezionym z Francji. Podarowali również 400 dolarów na potrzeby szkoły, w miejscu ktorej stał dawniej obóz „Kopernik". Na jej budynku wmontowano tablicę upamiętniającą spalenie żywcem około 230 Żydów. Swego rodzaju ukłonem w stronę Żydów był także nowy patron dla szkoły. Wybrano Hankę Sawicką, z tego względu, że jako działaczka komunistyczna pochodziła z żydowskiego domu.

Innym pomysłem, tym razem niezrealizowanym była donacja dla przedszkola, w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się żydowska szkoła Talmud Tory (ul. Nadrzeczna 20). Miała ona zostać przekazana przez Ziomkostwo pod warunkiem, że patronem będą „zamordowani Żydzi". Na skutek zmieniających się politycznych warunków, idących w stronę antysemityzmu państwowego projekt ten zarzucono. Więzy zostały zerwane...

Stosy kwiatów...

Żydzi nazywali ją „Kolie gas" - ulica Piłsudskiego.

Jechiel Kirszenbaum po wojnie uwierzył, że nowa socjalistyczna władza rozwiąże wszystkie dotychczasowe kłopoty. Nastanie nowy wspaniały świat, wszyscy będą równi. Mając tę wiarę, zaangażował się więc w komunizm - najlepszy wówczas polityczny system, jak mu się wydawało. Przymykał więc oczy na jego niedoskonałości, wyjechał z Mińska, w Warszawie z sukcesami działał w partii. W 1968 r. przyszło rozczarowanie: partia ustami Władysława Gomułki, pierwszego sekretarza PZPR zaczęła ziać ogniem antysemityzmu. Bańka względnej szczęśliwości pękła. Przed wyjazdem J. Kirszenbaum złożył wizytę w Mińsku i napisał z niej pewnego rodzaju impresję. W roku tym ostatni raz żegnał miasto i jego żydowskie duchy. Czy ktoś z Czytelników zapamiętał go, jak snuł się ulicami naszego miasta?

Cały dzień chodziłem po mieście, nie spotykając ani jednej rodziny, miłej mi twarzy, ani żadnej rzeczy mi bliskiej. Bardziej niż kiedykolwiek poczułem, że wszystko wokół było obce, tak przerażająco mi obce.

Gdy szedłem ulicą Warszawską, mijając młyn Szulca, przypomniałem sobie: ten etniczny Niemiec był pierwszą osobą, która po wkroczeniu Niemców swoje ubranie przywdziała swastyką, a potem wyłapywał Polaków na roboty do Reichu. Ale wybaczono mu nawet to. Nikt nie chciał mówić o tym więcej. Wyszedł na wolność z więziennym wyrokiem. W końcu Szulc nie był Żydem, więc aż tak go nie nienawidzono.

Mój dobry znajomy zatrzymał mnie i zapytał:

-Co oni z tobą zrobili?

-Co masz na myśli, „z tobą"? - odpowiedziałem.

-No, z Żydami - powiedział

Milczałem, czekając aż powie coś dalej i w końcu wyjaśnił:

- Gdybyście ponieśli klęskę z rąk Arabów, Gomułka oddałby wam hołd, ale na razie cieszymy się, że Sowieci bronią się.

Nadal milczałem. Mój rozmówca był członkiem partii więc bałem się, że to prowokacja.

Minąłem dawne żydowskie sklepy, zakłady pracy, gdzie kiedyś wrzała praca i miałem wrażenie, że jestem tylko niespodziewanym gościem. Poszedłem za miasto i natychmiast znalazłem się w fabryce, która przed wojną należała do Żyda nazwiskiem Fogelnest. Pracowałem w niej po wojnie. Nie odnalazłem tam jednak w ogóle żadnych śladów przeszłości, chociaż fabryka działała, jak dawniej. Nawet robotnicy, z którymi pracowałem nie rozpoznali mnie. Hmm...

Chciałem pracować nawet z tymi, którzy obrabowali mój dom po likwidacji getta, ale żaden z nich nie chciał ze mną gadać...

Wracam na Rynek, który został gruntowanie przebudowany. Wzdłuż jednego jego boku zbudowano duży blok dla robotników z fabryki Rudzkiego. Z tego miejsca mam widok na Siennicką i Nadrzeczną. Czy to naprawdę możliwe, że nie dostrzegam ani jednej osoby z przeszłości?

Kilka minut zajęło mi przejście na cmentarz. Z odległości widzę pomnik. Kiedy już dotarłem na miejsce, moim oczom ukazał się tu okropny nieporządek i zaniedbanie. Pomnik, zaiste, był nietknięty, ale wszystko wokół było zarośnięte chwastami; władze szybko

znalazły drogę, jak zwolnić się z danego słowa, że będą utrzymywały to miejsce w należytym porządku... Moją uwagę przykuły rozbite macewy, rozrzucone wokół. Cmentarz był nadal miejscem używanym jako "kamieniołom". Nagrobkami tymi wykładano drogi i boczne ulice... Stąd dostrzegłem piękne nowe domy, zbudowane na ul. Siennickiej. Tak, Siennicka, a na niej nie ma ani jednego Żyda! Szedłem ulicą, wracając z cmentarza, mijając ludzi. Patrzyli na mnie jak na obłąkańca. Pomyślałem sobie: „Jak dobrze, że już tu nie wrócę. To dobrze, że nic już mnie nie sprowadzi do tego miejsca, które stało się mi tak obce.

Tak, spotkałem jednego Żyda, Szaje Tajbluma. Miał mały sklep, wstawiał szyby okienne. W taki sposób zarabiał na życie. Mieszka na ul. Mostowej w domu Gliksberga, do którego przeprowadził się po wojnie. Nie, on nie potrzebuje niczego, aby tylko mieć co do garnka włożyć. Jest zadowolony. Nie odczuwa obcości otoczenia. Przeżyje tu swoje lata w pojedynkę.

Jestem teraz przy dawnej szkole Kopernik. Teraz nosi ona imię żydowskiej bojowniczki Hanki Sawickiej. (...) W nowe mury wbudowana jest pamiątkowa tablica ku czci 220 Żydów spalonych w tym obozie. Płyta tkwi w ścianie nietknięta. Miejmy nadzieję, że nikt jej nie zniszczy.

(...) Niedaleko Kopernika była fabryka Rudzkiego. Podczas wojny przebywałem tam przez jakiś czas. Stamtąd następnie uciekłem do Warszawy. Od tamtego czasu fabryka się rozrosła. Porozmawiałem z panem Szubertem, który wówczas był moim nadzorcą. Jestem mu wdzięczny za wspaniałomyślne traktowanie mnie. Wiedział, że należę do grupy partyzantów. (...)

Te wspomnienia niemieckiej okupacji przywołały moje dzisiejsze problemy. Bo my, niby ocaleni Żydzi, musimy na nowo stanąć wobec problemu przeżycia. Jestem przekonany, że Narodowa Demokracja w Polsce po wojnie jest znacznie bardziej tolerancyjna wobec Żydów niż komunistyczny rząd. „Ścieżka", którą wybrałem po wyzwoleniu okazała się błędem. To był bezowocny czas. Moja dwudziestoczteroletnia praca dla „nowej" Polski stała się wielkim błędem. Wróciłem do Warszawy, spakowałem się do wyjazdu i byłem gotowy do drogi. Całą drogę do granicy byłem niepewny: czy wypuszczą nas, czy aresztują?

25 listopada 1968 r. przybyłem do Izraela.

Zostały tylko domy...

Do „minskerów" przemawia M. Guberek.

Tuż po zakończeniu wojny wielu Żydów, którzy przetrwali Zagładę zdecydowało się na „automatyczny" wyjazd z Polski do Izraela. Od czasów przedwojennych, w ramach aliji, przebywało tam wielu mińskich Żydów. Pierwszym palestyńskim osadnikiem z naszego miasta był Chaim Grynbojm, który do Palestyny przybył już w 1925 r. Wówczas decyzja ta świadczyła o odwadze, gdyż niewielu chciało ryzykować opuszczenie domu, który był dorobkiem całego życia. Stąd emigrowali przede wszystkim ludzie młodzi. Nie zawsze osoby te wytrzymywały trudne warunki palestyńskiej ziemi, także klimatyczne oraz życie w kibucu i wracały w poczuciu klęski z powrotem do Mińska. Druga fala wyjazdów miała miejsce w latach 1933-1935. Nasze miasto opuściła wtedy rodzina Obfajerów - Sara i Icchak z rodziną. Za nimi pojechali: rodzina Bibliarsz, Fajga Złotołów, Szymon Rubinsztajn, Czarna Miodowska, Binem Rotsztejn, Fajga Kiwajko i Noach Krajtman, Szmul Zilbersztajn związani z partiami syjonistycznymi. Grupa ta cały czas podtrzymywała kontakty z rodzinnym miastem, szczególnie po pogromie, który miał miejsce w 1936 r. Jego brutalny przebieg spowodował, że w Mińsku rozpoczęła się trzecia fala wyjazdów. Wielu przedostawało się do Palestyny nielegalnie, m.in. Icze Goldman, Izrael Gutgold, Tauba Glikman i inni.

Gdy wybuchła II wojna światowa, w pierwszym lub drugim roku wojny kontakt emigrantów z Mińskiem urwał się. Dopiero po wojnie rozpoczęło się szukanie krajan z Mińska. Z ogromną radością i wzruszeniem przyjmowano każdego ocalałego Żyda. Przedwojenni emigranci z naszego miasta przywitali w ten sposób Pinkasa Biblirsza, który podczas wojny służył w żydowskiej brygadzie na włoskim froncie. Od Ryfki Grynszpan, którą przypadkiem spotkał na froncie dowiedział się o losach miasta i jego mieszkańców podczas okupacji niemieckiej. Pod wpływem opowiadań mińska grupa w Izraelu zdecydowała się na wysyłkę jedzenia do Polski. Paczki adresowali do Łodzi, gdyż tam gromadzili się mińscy ocaleńcy. Miasto to nie doznało zniszczeń, w przeciwieństwie do zrujnowanej Warszawy.

Pierwszymi mińszczanami, którzy po zakończeniu wojny przybyli do Erec Izrael były Basia Abramowska i Miriam Furmańska. Cała mińska społeczność w Izraelu cieszyła się, gdy w 1946 r. rozesłano zaproszenia na pierwszy po wojnie ślub Miriam i Arona Karmi. W roku tym przyjeżdżało coraz więcej Żydów ocalałych z Zagłady, co doprowadziło do zawiązania nieformalnego stowarzyszenia Żydów - dawnych mieszkańców Mińska Mazowieckiego i okolic. Ludzie ci zaczęli zbierać pieniądze przeznaczone dla krajan z Mińska, którzy przyjechali do Izraela. Punktem kontaktowym dla nich wszystkich była ulica Szenkin. Mogli tam uzyskać doraźną pomoc finansową, a także pracę lub mieszkanie.

W 1954 r. Mińskie Stowarzyszenie w Izraelu podjęło współpracę z mińskimi Żydami żyjącymi w Paryżu, co zaowocowało znacznym wpływem gotówki na izraelskie konto tego Stowarzyszenia. Od tej pory izraelskie środowisko podtrzymywało

Ci, którzy przetrwali.

kontakty z kręgiem Żydów mińskich z Paryża.

Obok działalności pomocowej, przywracającej wielu Żydów do normalnego powojennego życia, izraelska grupa prowadziła działalność zmierzającą do upamiętnienia mińskich ofiar Zagłady. Ufundowało płytę ku pamięci żydowskiej społeczności naszego miasta, umieszczonej na „Ścianie Holokaustu", znajdującej się na Wzgórzach Syjonu. Angażowano się również w działalność w Związku Żydów Polskich, spotykano w Jerozolimie, aby odmówić kadisz za zamordowanych w Mińsku.

Ważnym wydarzeniem dla tego środowiska okazało się również podarowanie przez Jechiela Kirszenbauma zwojów Tory, która ocalała podczas okupacji w Polsce. Przekazano ją jako donację do synagogi Tiferet tuż po zakończeniu Wojny Sześciodniowej. Na okładce Tory widniała dedykacja poświęcona zamordowanym mińskim Żydom. Z dużym zaangażowaniem propagowano także ogólnoizraelskie akcje mające na celu docenienie wysiłku osób ratujących Żydów podczas wojny. Zadanie to nie należało do łatwych, gdyż Polska znalazła się po wojnie za żelazną kurtyną, w bloku państw tak zwanej demokracji ludowej. W owym czasie najaktywniejszymi działaczami byli w Izraelu: Chaim Grynbaum, Mordechaj Wajsbrot, Chaim Szapirsztejn, Icze Goldman, Gutgold, Jankiel Radzyński, Malkale Kirszenbaum.

Gdy zmarł Ch. Grynbaum, przewodniczącym Stowarzyszenia został M. Wajsbrot. Misją jego życia stało się wydanie księgi pamięci dawnych żydowskich mieszkańców Mińska. Wokół tej inicjatywy udało mu się skupić wielu krajan, również tych mieszkających poza Izraelem. W efekcie powstał zbiór artykułów, zdjęć i innych materiałów. Niestety w latach 60. nie udało się wydać takiej księgi.

Prace redakcyjne zostały wznowione w 1973 r. Ponownie podjął je Wajsbrot, lecz jego nagła śmierć zniweczyła te plany. Trzy lata później, w 1976 r. na skutek determinacji Stowarzyszenia powstał komitet redakcyjny księgi na czele z Jechielem Kirszenbaumem. W wysiłkach pomagali mu szczególnie: Mosze Bernsztejn, Mosze Goldman, Abraham Feldman, Jakow

Kaufman, Izrael Gutgold i Lejb Rochman.

Księga Pamięci Mińska Mazowieckiego (w jidysz Sefer Minsk Mazowieck) została wydana w 1977 r. Redakcji podjął się Efraim Siedlecki. Została ona napisana w dwóch językach: hebrajskim i jidysz. Zawiera również krótką notatkę redakcyjną sporządzoną po angielsku. Księga ta, o grubości ponad 600 stron stanowi nieocenione źródło wiedzy o dawnych żydowskich mieszkańcach naszego miasta, żyjących tu w różnych okresach historycznych, co sprawia, że stała się ona największym osiągnięciem Stowarzyszenia Mińskich Żydów w Izraelu.

Niestety, ze względu na fakt, że języki żydowskie w małym stopniu znane są polskiemu czytelnikowi, Księgi tej mińszczanie nie znają...

A czy znają historię mińskich Żydów, którzy wyraźnie obok chrześcijan, a czasem razem z nimi żyli w naszym mieście od setek lat?

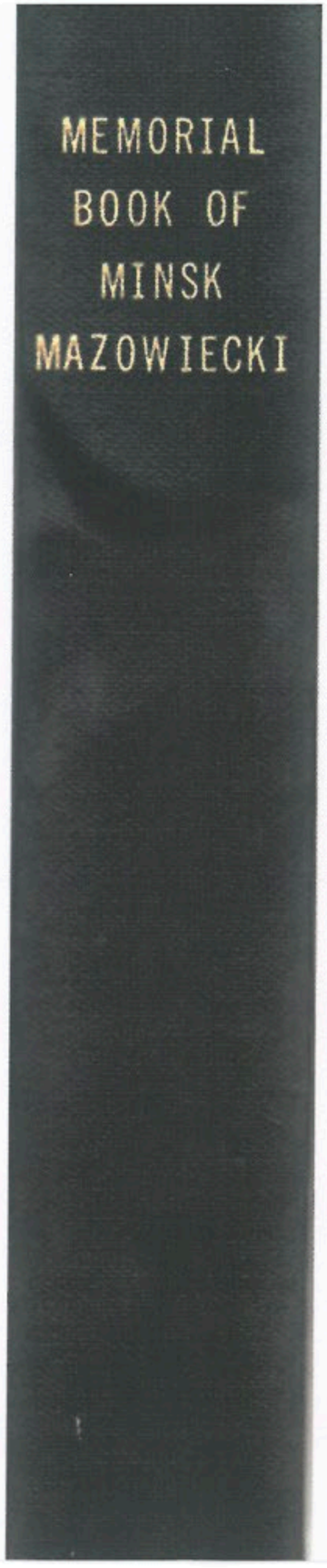

ספר
מינסק־מזובייצק

יזכור־בוך נאָך דער חורבן־געוואָרענער קהילה
מינסק־מאַזאָוויעצק

ועדת המערכת — רעדאַקציע־קאָמיטעט :
יחיאל קירשנבאָום (יו"ר)
משה בארנשטיין, יעקב קויפמאַן, לייב ראַכמאַן

העורך — רעדאַקטאָר :
אפרים שעדלעצקי

הוצאת ארגון יוצאי מינסק־מזובייצק והסביבה בישראל
אויסגענעבן דורכן פאַרבאַנד פון מינסק־מאַזאָוויעצקער לאנדסלייט
אין ישראל מיט דער הילף פון לאַנדסלייט אין דער גאַרער וועלט
ירושלים, תשרי תשל"ח — 1977

Pierwsza karta *Księgi*.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA – zagadka

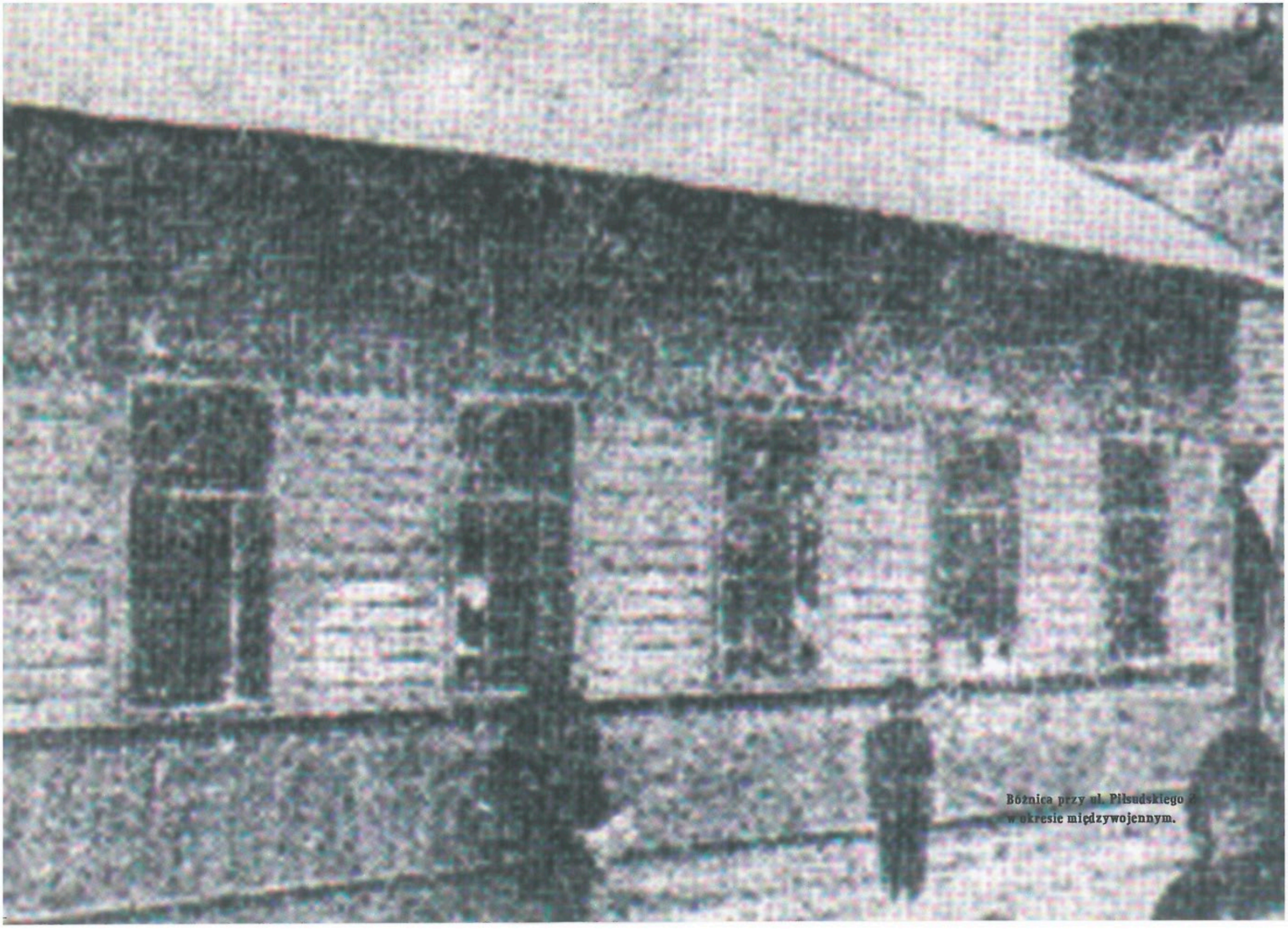

Bożnica przy ul. Piłsudskiego 2
w okresie międzywojennym.

W sierpniu 2012 r. zostałam namówiona przez mińską historyczkę, dr Lillę Kłos, aby sprawdzić, czy najstarszy budynek stojący przy ul. Piłsudskiego (dawniej ul. Karczewska) jest żydowską bóżnicą. Oczywiscie, wedle ugruntowanego stanu wiedzy dom modlitwy znajdował się tuż obok, w miejscu, gdzie dziś jest sklep spożywczy w rzędzie domów, tuż przed dawnym zakładem należącym do rodziny Roguskich. Tak głosi się od dawna i trudno odmówić temu twierdzeniu słuszności. Ten stan wiedzy potwierdza plan sytuacyjny mińskiej bóżnicy. Sporządzono go w 1927 r. w związku z tym, że mińska gmina wyznaniowa od wyżej wymienionego roku stała się formalno-prawnym właścicielem wszystkich swoich obiektów sakralnych.

Podstawowymi informacjami naniesionymi na plan są dane dotyczące wymiarów modlitewni i jej dokładnego usytuowania. Plan wyraźnie ilustruje, że dom modlitwy znajdował się tuż za budynkiem starostwa w odległości 4,9 m od niego. Bóżnica była budynkiem opartym o kwadratową bryłę, o bokach długości około 14 m. Dalej mamy już, wedle planu, posesję Roguskiego. W czym zatem problem?

Otóż, na mapce brak oznaczenia drewnianej chałupy, którą dziś można wziąć właśnie za dom modlitwy, a znajduje się ona dokładnie w odległości 5 m od starostwa! Nie znamy przyczyny, która wyjaśniłaby ten stan rzeczy. Chałupa ta jest rzeczywiście stara, postawiono ją w XIX wieku. Nie mogła więc zniknąć niepostrzeżenie z oczu architektowi sporządzającemu plan sytuacyjny mińskiej bóżnicy. Dodatkowo, wedle mapki, numer, pod którym znajdowała się bóżnica nosił nr 2, czyli był pierwszym budynkiem z parzystą numeracją. To również przemawia na korzyść naszej chałupy, która jak okiem sięgnąć, jest pierwszym domem po tej stronie ulicy.

A Ty, drogi Czytelniku, co sądzisz na ten temat?

H. N.

PLAN SYTUACYJNY

BOŻNICY ŻYDOWSKIEJ W POSESJI Nº 2.

PRZY UL. KARCZEWSKIEJ W MINSKU-MAZ.

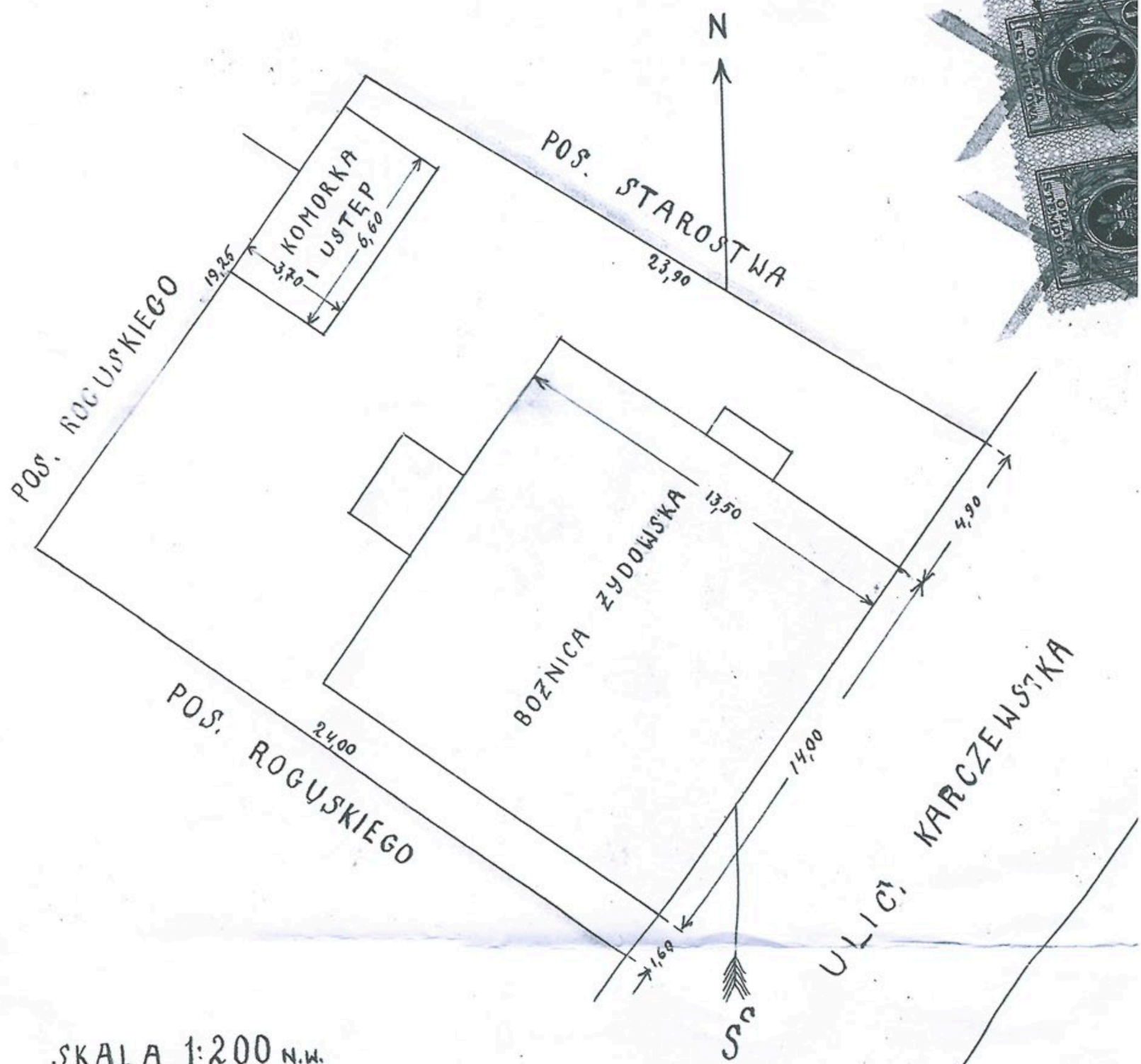

SKALA 1:200 N.W.

0 2 4 6 8 10 12 14 16 18 20 22 24

OBLICZENIE

POWIERZCHNI POSESJI

$19,25 \times 24,00 + 1,25 \times \frac{24,00}{2} = 477$ M. KW.

Z go dnia niniejszego pla
sytuacyjnego z naniesi
- stwierdzenie.
- Wilno-Nasz.
1. VII 192[illegible]

[illegible]

Pow. Architekt[illegible] pow. Mińsko-M

ul. Piłsudskiego 2. Obecnie najstarszy budynek w tej części miasta.

Bibliografia:

1. Alicja Gontarek, I zostały tylko drejdle... Jednodniówka z okazji 70. rocznicy likwidacji getta w Mińsku Mazowieckim, Mińsk Mazowiecki 2012.

2. Alicja Gontarek, Obóz pracy „Kopernik", „Biuletyn Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie", nr 3 (2012), s. 14-16.

3. Leon Guz, Targowa 64. Dziennik 27 I 1943-11 IX 1944, Warszawa 2001.

4. Chil Kirszenbaum, Bezkarny mord na Żydach w Mińsku Mazowieckim, 1984. (maszynopis)

5. Lejb Rochman, The Pit and the Trap: a chronicle of survival, New York 1983.

6. Sefer Minsk Mazowieck; izker buch noch der chorew-geworener kehile Minsk-Mazowieck, red. E. Siedlecki, Jerozolima 1977.

7. Guta Tyrangiel Benezra, Mémoire Bariolée. Poetic Paintings, Głosy Przeszłości, Ottawa 1995.

Serdecznie dziękuję moim rozmówcom: Romanowi Byczukowi, Stanisławowi Chojnowskiemu, Elżbiecie Janke, Andrzejowi Kołpak-Klewszczyńskiemu, Dinie Tetenbaum, Andrzejowi Żelazowskiemu, Hannie Żelazowskiej. Osobom tym, a także Elżbiecie Rozparzyńskiej składam również wyrazy wdzięczności za udostępnienie mi zdjęć ze swoich zbiorów.

Wszystkie zdjęcia zamieszczone w publikacji przedstawiają mińskich Żydów. Gros z nich zamieszczono uprzednio w Sefer Minsk lub pozyskano z YIVO Institute, Yad Vashem i polskich archiwów (Archiwum Państwowe w Warszawie - oddział Otwock, Archiwum Państwowe w Siedlcach, Instytut Pamięci Narodowej). Poza tym fotografie pochodzą z archiwum Towarzystwa Przyjaciół Mińska Mazowieckiego oraz z zasobu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Warszawie - delegatura w Siedlcach.

Tekst: Alicja Gontarek
Tłumaczenia z jidysz: Alicja Gontarek
Projekt graficzny: Joanna Wilczak
Wydawca: Towarzytwo Przyjaciół Mińska Mazowieckiego
Druk: Kozak Druk (Siedlce)